MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIX NR 31 WARSZAWA 23 LIPCA 1939 R CENA NUMERU 80 GR

# NABRZMIAŁE ZAGADNIENIE

NIE BEZ RACJI wszyscy odpowiedzialni polscy mężowie stanu łączą polskość z katolicyzmem i z kulturą rzymską. Tym tezom hołdują nawet ci, którzy sami do kościoła katolickiego chwilowo nie należą.

Tak, jak jest obecnie, kościoły i obrządki nie rzymsko-katolickie odgrywają w Polsce rolę schronów dla dążeń odśrodkowych. Właśnie w latach ostatnich i miesiącach ostatnich jesteśmy świadkami energicznych wysiłków w dwu największych po rzymsko-katolickim Kościołach: w Cerkwi prawosławnej i Cerkwi grecko-katolickiej, aby uczynić z nich Kościoły narodowe ukraińskie, białoruskie czy rosyjskie, a wyraźnie przeciwpolskie. Sprobujmy zarejestrować niektóre z tych wystąpień. Trzeba je znać choćby dlatego, aby sprawiedliwiej ocenić wysiłki mniejszości wyznawców tych Kościołów, reprezentującej kierunki dośrodkowe, propolskie.

Sięgnijmy pamięcią w dawne wieki.

Polska przyjęła religię katolicką rzymską. Narody słowiańskie, na wschód od nas położone, przyjęły religię chrześcijańską z Konstantynopola, z Bizancjum, ze wschodu. W ten sposób Polska weszła w orbitę kultury zachodniej, Rosjanie i Ukraińcy weszli — jako schizmatycy — w orbitę kultury wschodniej.

Państwo polskie w wiekach średnich, od 14 do 18 wieku, sięgało daleko w kraje litewsko-białoruskie-ruskie, niosąc tam i urządzenia państwowe i kulturę zachodnią. Prawosławie, zwłaszcza jego hierarchia, przyjęło język polski i wiele z kultury zachodniej tak, że z czasem między prawosławiem polskim i rosyjskim wytworzyły się znaczne różnice.

To kulturalne zbliżenie rzymsko-katolików i prawosławnych — w obu wypadkach u swych szczytów reprezentowanych przez Polaków — ułatwiło i umożliwiło akcję unijną Rzymu.

Nie udała się unia florencka, unia całego kościoła powszechnego z całym wschodem w r. 1489, ale udała się unia lokalna, polska, unia brzeska w r. 1596. Kościół katolicki przyciągnął do unii, do zjednoczenia w kościele powszechnym, niemal wszystkich prawosławnych w Polsce. U podstaw tej unii leżała jedna kultura: zachodnia, leżał jeden język: polski.

Uczeni polscy, zwłaszcza w czasach ostatnich, ostro krytykują i unię brzeską i jej wykonanie. Stwierdzają, że unia ta przyniosła Polsce wiele szkody. Wskazują, że dla Polski było ważniejszym i zdrowszym stworzenie niezależnego od nikogo, tak od Konstantynopola, jak i od Moskwy, Kościoła prawosławnego w Polsce.

Prawda leży niewątpliwie po środku. Unia brzeska dała istotnie wyniki na dalsze lata słabe poprostu dlatego, że jej należycie i konsekwentnie nie przeprowadzono w terenie. Trzeba było zniszczyć nielegalną hierarchię prawosławia, trzeba było dać pełne prawa polityczne i przywileje hierarchom kościoła unickiego (nazywamy go dziś grecko-katolickim), trzeba było zdecydowanie odrzucić wszelkie próby mącenia w tym Kościele patriarchów Moskwy czy w pewnych okresach nawet Kijowa, trzeba było pójść zdecydowanie na obrzędowe, liturgiczne, a nawet językowe zbliżenie do Zachodu — a wtedy mielibyśmy — nawet po wielu latach niewoli, — taki opór unitów przeciw prawosławiu, jaki mieliśmy na Podlasiu i częściowo w grodzieńszczyźnie.

Niestety, unia brzeska, od początku mało popularna wśród duchowieństwa łacińskiego, mało rozumiana w masach wiernych unitów, niekonsekwentnie popierana lub bagatelizowana przez zmieniających się królów, podminowana przez coraz bardziej zwycięsko rozpierającą się Rosję (zwłaszcza po pokoju Grzymułtowskim), stała się piłką w ręku zmieniających się sił i graczy. Była ubogim krewnym w ręku bogaczy: katolików z jednej, a prawosławnych z drugiej strony. Nie podobna się dziwić, że po rozbiorach Polski unici utonęli prawie bez reszty w prawosławiu. Nie-

którzy z nas patrzyli zbliska, jak wielu greko-katolików w Małopolsce w chwili gdy w r. 1914 wkroczyły tam wojska rosyjskie, przechodziło na prawosławie. Unici w b. zaborze austriackim w oparciu o dynastię katolicką Habsburgów utrzymali się, ale moralnie silnymi nigdy nie byli. Nawet w Polsce nowej obserwujemy, jak całe parafie, głównie na Łemkowszczyźnie, przechodzą na prawosławie.

Głównych winowajców przegranej widzimy więc w wykonawcach unii brzeskiej. Głównych, choć nie jedynych. Poważny błąd zawiera i sama treść unii. Tak delegaci Rzymu, jak i rządy polskie — wbrew zdaniu wielu duchownych łacińskich, — chcąc doprowadzić do zjednoczenia prawosławia polskiego z Kościołem rzymskim, poszli na wszelkie ustępstwa niby formalne. Stali twardo przy uznaniu wszystkich dogmatów (słynne „filioque") — tu istotnie nie wolno było robić ustępstw i krakowskich targów, — ale też więcej niż ustępliwi byli przy liturgii i obrzędach, przy języku i określaniu praw i obowiązków duchowieństwa i t. d. W rezultacie nazewnątrz Kościół unicki mało się różnił od Kościoła prawosławnego. Ten fakt niewątpliwie ułatwił wśród ciemnych mas, a nie zawsze oświeconego duchowieństwa agitację rosyjską, jadącą na koniu wspólnoty obu Kościołów i ich wschodniego pochodzenia.

Trzeba było sięgnąć do podstaw unii brzeskiej i jej bankructwa w życiu i w historii, gdy przygotowujemy grunt pod nowe uporządkowanie spraw religijnych i kościelnych w nowoodbudowanej Polsce.

W Cerkwi grecko-katolickiej, jedynej pozostałości dawnej unii, obserwujemy od wielu lat, co najmniej od r. 1848, od Stadiona, współdziałanie gubernatorów i namiestników austriackich z kierownikami tej Cerkwi w kierunku stworzenia z niej narodowego kościoła dla Rusinów, a potem dla Ukraińców. Były oczywiście i próby odwrotne. Wszak to polscy jezuici założyli grecko-katolickich Bazylianów. Wszak Polak hrabia Szeptycki został grecko-katolickim biskupem w Stanisławowie, a potem metropolitą całej Cerkwi we Lwowie. Hierarcha ten pierwsze swoje listy pasterskie ogłaszał po rusku i po polsku. Piszący te słowa przyjaźnił się z jednym z ostatnich księży grecko-katolickich Polaków, z ks. Kamińskim, z Tarnopolszczyzny.

Polacy — na razie — walkę przegrali. Obaj Szeptyccy, Andrzej i Klemens, stoją dziś na czele „narodowej" Cerkwi ukraińskiej. Obaj reprezentują wyraźny kierunek antypolski. Obaj ciągną wyraźnie na wschód. Polacy wprawdzie nie znikli w Cerkwi grecko-katolickiej, ale przycichli i do niedawna trwali wyłącznie w defensywie. Jeszcze w czasie spisu ludności w r. 1931 było Polaków greko-katolików 487.034 na ogólną liczbę 3.336.164 czyli około 15%. W czasie trwania t. zw. Konkordii rzymscy-katolicy, a więc wyłącznie Polacy, stracili w Małopolsce na rzecz Cerkwi grecko-katolickiej (wówczas nie mającej jeszcze cech Kościoła narodowo-ukraińskiego) około miliona dusz, Obecny ruch wśród t. zw. szlachty zagrodowej jest powrotem tych zruszczonych przez Cerkiew Polaków do pnia macierzystego.

Polska niepodległa musi się zdecydować na jasną politykę językową i — wyznaniową. Spadku po zaborcach, którzy zrobili wszystko, aby Kościoły unicki i prawosławny wygrać przeciw polskości i Kościołowi rzymskiemu, bez zmian przyjąć nie możemy. Mus my wiedzieć, co z polskiego i z katolickiego punktu widzenia jest złe, a co dobre i czego chcemy. Czasy dla zrealizowania naszego programu są wyjątkowo pomyślne.

Kościół rzymski na całej przestrzeni tysiąca lat reprezentuje jeden cel: chce prawosławny wschód zjednoczyć w jednej owczarni i przy jednym pasterzu. Dążenia i cele Polski muszą w pełni harmonizować z tym niezmiennym celem Rzymu. Spory mogą i muszą się ograniczyć do wyboru dróg, do tego celu wiodących.

Kościół katolicki zna różne drogi, wiodące do pozyskania narodów i państw. Misje i unie, najbardziej znane i uznane, nie wyczerpują całego arsenału środków. Papież Urban VIII, powiadomiony o męczeńskiej śmierci arcybiskupa Jozafata, pisał do króla polskiego: „Powstań, powstań, o królu, weź broń i tarczę i, jeżeli zbawienie ludów tego wymaga, tęp ogniem i mieczem zarazę dysunii". Wybór środków może zatem ulegać — dyskusji.

Kościół katolicki musi szukać dróg do dusz i serc wszystkich. Polska ma rolę ograniczoną do swojego własnego terenu. Szukać więc jesteśmy obowiązani takich dróg, które ogół obywateli Polski doprowadzą do zjednoczenia z Kościołem powszechnym pod zwierzchnictwem biskupa rzymskiego, a równocześnie wzmocnią katolickie państwo polskie, a przynajmniej mu nie zaszkodzą. W naszym rozumieniu, na siłę i potęgę Państwa Polskiego składają się: wiara katolicka, kultura zachodu, język polski. Około tych potęg moralnych skupić chcemy możliwie wszystkich. Wszystko co dąży w innym kierunku, osłabia i naród i państwo.

Takie określenie naszego programu jest całkowicie zgodne z celem niezmiennym Kościoła katolickiego, a wyłącza tylko pewne metody i drogi. W szczególności wyłącza uznanie Cerkwi grecko-katolickiej i Cerkwi prawosławnej za Kościoły narodowe, za Kościoły conajmniej apolskie. Wyłącza upodabnianie tych Kościołów w języku, w obrzędach, w liturgii do obrządków wschodnich poza granicami Polski. Wyłącza tworzenie specjalnych obrządków, mających na celu rusyfikację pewnych ziem polskich po to, aby stworzyć bramę wypadową do nawracania Rosji. Myślę o obrządku wschodnim, zwłaszcza o pierwszym okresie jego organizacji.

Oceniając dla Kościoła katolickiego korzyści na wązkim i lokalnym, ale niewątpliwie ważnym odcinku, jakim jest Polska, stwierdzić nam wolno na podstawie wielowiekowych doświadczeń: wiernym dla Kościoła katolickiego i w dobrej i w złej doli było i jest tylko to, co się odcięło od wschodu, co przyjęło kulturę i język polski. My Polskę chcemy widzieć jednolitą kulturalnie i językowo. My twierdzimy, iż Cerkwie unicka i prawosławna dojdą do pełnego porozumienia z Kościołem rzymskim tylko wtedy, gdy przesiąkną kulturą zachodnią. Wtedy też i w złej doli pozostaną kościołowi wierne. Ale i odwrotnie Cerkwie te pozostawione poza językiem polskim i kulturą zachodnią, oddane jako Kościoły narodowe Rusinom, Białorusinom, Ukraińcom czy Rosjanom, w odpowiedniej chwili rozbiją Państwo Polskie i zdradzą dla prawosławia, dla wschodu — Kościół kato-

licki. Nie wychylając tedy nosa poza nasze opłotki mamy jeśli o Polskę, jej siłę i jej przyszłość idzie, całkowicie wspólny program działania z Kościołem katolickim.

Czy nasz program napotyka na zdecydowany opór wśród wyznawców obu Cerkwi?

Nie!

Obie Cerkwie, tak unicka, jak i schizmatycka, obecnie mocno fermentują.

Centrala dla polskiego prawosławia, synod i patriarcha w Moskwie, znalazła się w położeniu niezmiernie ciężkim. Na terenie Rosji istnieją dziś cztery odrębne Kościoły rosyjskie i dwa ukraińskie. Poza granicami Rosji utworzyli emigranci parę niezależnych Cerkwi. Najbardziej znanym i wpływowym jest sobór biskupów emigrantów w Karłowach Sremskich w Jugosławii, który próbował mieszać się i do prawosławia polskiego. Obok tego soboru tytuł patriarchy przybrał biskup w Paryżu Eulogiusz. Metropolita Platon utworzył w Ameryce szereg diecezji, dziś częściowo samodzielnych. Ongiś metropolita wileński, Eleuteriusz, usunięty z Polski, osiadł w Kownie, uznał patriarchą zastępcę strażnika Sergiusza w Moskwie i pośredniczy, niby ambasador sowiecki, między centralą cerkwi patriarszej (najpoważniejszej z sześciu) a prawosławiem typu rosyjskiego poza granicami Rosji. Nastroje antyreligijne bolszewizmu osłabiły pęd Cerkwi rosyjskiej. Zależność tej cerkwi od Sowietów odebrała uznanym przez Sowiety hierarchom tej Cerkwi autorytet i nimb. Metropolita Antoniusz z Karłowiec Sremskich nie bez racji odpisał metropolicie Sergiuszowi w Moskwie, iż nie może uznać mocy prawnej zarządzeń i jego i jego synodu, ponieważ „jego były uczeń i przyjaciel (Sergiusz) znajduje się nietylko w niewoli fizycznej, ale i moralnej u bezbożników". (List z r. 1934).

Polska ani na chwilę nie mogła tolerować zależności hierarchicznej prawosławia na swoim terenie od patriarchy i jego synodu w Moskwie. W r. 1922 wydała „Tymczasowe Rozporządzenia", w r. 1938 wyszła ustawa o „Autokefalicznym Kościele prawosławnym w Polsce". Na przestrzeni 16 lat, od przepisów tymczasowych do statutu definitywnego, prawosławie polskie przeżyło wiele wstrząsów i wiele przemian. Hierarchowie, z ducha Rosjanie typu carskiego, niewątpliwie z razu łudzili się, iż w Rosji wróci car, a Polska szybko straci niepodległość chcieli więc dla „jedynej Rosji" zachować i na ziemiach polskich nietkniętą Cerkiew rosyjską. O uległość wobec Moskwy upominali się u metropolitów warszawskich Jerzego i Dionizego patriarchowie moskiewscy Tichon i Sergiusz. Złudzenia te z czasem zbladły, może nawet znikły. Poniżenie Cerkwi w Rosji i wymagania polskiej rzeczywistości — oto dwie przyczyny, które przyśpieszyły zorganizowanie autokefalicznego Kościoła prawosławnego w Polsce. Nie poszło to oczywiście łatwo i gładko. Padł od kuli Szmaragda metropolita Jerzy, poszedł na wygnanie metropolita Eleuteriusz, odeszli do klasztorów na pobyt przymusowy trzej inni prawosławni biskupi. Cerkiew prawosławna w Polsce ma od niewielu tygodni i ustawę zasadniczą i swój statut wewnętrzny i układ z państwem i zasiłki rządowe.

(Dok. nast.) STANISŁAW RYMAR

# ISTYNKT W POLITYCE.

PRZYJĘTO uważać działanie po namyśle, po rozpatrzeniu wszelkich okoliczności za najlepsze. Swiatem naszej cywilizacji rządzi dziś rozumne działanie kierowników państw, potentatów gospodarczych, znakomitych organizatorów, ludzi ścisłego myślenia i rozległych wiadomości.

Prymat rozumu jest oczywisty i przytłaczający, zwłaszcza w sprawach związanych z życiem publicznym. Nie tylko bowiem paneuropejski liberalizm uważał, że wszystko można dopasowywać i przykroić według teoretycznego wzoru, ale i niektóre współczesne doktryny nacjonalistyczne hołdujące poglądowi, że życie narodu da się zamknąć w sztywnych formach mechanicznego ustroju uznanego za najlepszy przez trust mózgów lub geniusz wodzowski.

Rozum rządzących przemawia do dobrze rozumianego interesu obywateli — oto najczęstsza formuła rządzenia. Nic więc dziwnego, że obok snów o potędze częste jest odwoływanie się do spodziewanych korzyści całkiem poziomej natury. Tak jest niewątpliwie w Rosji, tak jest w przeważnym stopniu w Niemczech, Francji i Anglii.

*

W społeczeństwach cywilizowanych Europy i Ameryki brak jest instynktu walki, a odnosi się to zarówno do jednostek jak i do całych narodów.

Kilkanaście lat powojennego, pacyfistycznego wychowania nauczyło patrzeć na walkę między ludźmi jako na rzecz obrzydliwą, pierwotną, zwierzęcą. Wszystko jedno, czy będzie to walka orężna, czy też ostre współzawodnictwo życiowe lub starcie polityczne. Atmosfera taka sprzyjała zanikowi instynktu walki, bo nawet jeśli jest dziś bezwzględna walka konkurencyjna w życiu gospodarczem — wynika ona z żądzy bogacenia się, a nie z zamiłowania do współzawodnictwa. Podobny zanik instynktu walki spotykamy i w życiu politycznym. Partie (i monopartie) bardzo szybko ulegają biurokratyzacji, gdzie przywódcy stają się urzędnikami — jak się to dzieje przedewszystkim u socjalistów, albo też, ubierając swoich członków w jednolity strój, wprowadzając uniform zewnętrzny i wewnętrzny — nie dopuszczają do rozwijania się instynktu walki, który najlepiej hartuje się w przeciwnościach, a nie w jednolitym „pilnowaniu powierzonych odcinków".

Mam wrażenie, że Hitler już dawno rozpocząłby wojnę gdyby widział więcej instynktu, więcej ochoty do walki u swoich ziomków. Wynalazki techniczne i wysiłki zbrojeniowe tak w Niemczech, jak i w innych państwach mają nie tylko na celu zaoszczędzenie materiału ludzkiego,

ale również i to aby od żołnierza moment bezpośredniego starcia jaknajdalej odsunąć.

Żołnierz polski jest zupełnie inny, podchodzi on do wojny dużo prościej i, nie zawaham się powiedzieć — o wiele pierwotniej. Nie potrzeba go oszałamiać perspektywą nadzwyczajnych zysków, choć musi wiedzieć dobrze z kim i o co ma walczyć. Nie wymaga również, w tym stopniu jak to czynią żołnierze innych armii, aby mu zapewniono na froncie warunki cywilnego życia.

Bije się, bo go walka pociąga i chce zniszczyć przeciwnika.

Nad wojną nie filozofuje, nie podnieca się, nie myśli o zabezpieczeniu. Pcha go do niej instynkt walki narodu, który wiele się bił i prawie zawsze zwyciężał.

*

Drugim instynktem, który w polityce i w wojnie (która jest politycznym krótkim spięciem) odgrywa poważną rolę — jest instynkt władzy.

Jest on nie tylko udziałem tych, którzy samodzielnie rządzą — kierowników państw, stronnictw i wodzów armii, mają go również wszyscy ci, którzy podporządkowują sobie ludzi, albo choćby tylko pewne działy naszego życia kulturalnego, czy politycznego.

Instynkt władzy, dążenie do wyróżnienia się, do zaznaczenia swej woli — jest powszechne (jak zresztą każdy instynkt). Spotykamy go niemal u każdego człowieka, poza melancholikami i ludźmi całkowicie oddającymi się Bogu (choć i ci ostatni rządzą — tylko nie w swoim imieniu). Formy wyładowania, uzewnętrznienia tego instynktu są najrozmaitsze. Widzimy go w rodzinie, gdzie każda ze stron (ojciec, matka, dzieci), każde na swój sposób i własnymi metodami — okazuje swoją wyższość, albo conajmniej próbuje przeprowadzić swą wolę. Są tacy, którzy szukają znaczenia na arenie towarzyskiej, inni starają się o to aby ich myśli były powszechnie uznawane, aby inni przyjmowali je za słuszne i dobre.

Instynkt władzy jest w polityce niezwykle potrzebny. Jaknajwiększa ilość ludzi z jaknajwiększym instynktem władzy — nie jest nigdy słabością, ani rozbiciem ruchu politycznego. Klęską jest dopiero wynaturzony instynkt władzy, t. zn. skierowany ku sprawom zbyt osobistym, ograniczony indywidualnymi celami, albo też instynkt niesharmonizowany z wysiłkami innych, samopas szarpiący się z trudnościami, brutalnie lub bezmyślnie odpychający innych, nie wykorzystujący ich dążeń, nie umiejący współdziałać.

*

Jeśli mówimy o narodzie jako o naturalnym organiźmie społecznym — to twierdzimy tak między innymi dla tego, że dwa instynkty tak potrzebne dla życia społecznego: instynkt walki i instynkt władzy w nim do najpełniejszego działania są powołane.

Instynkt walki przez najbardziej wzniosłe i bezosobiste współzawodnictwo — współzawodnictwo między narodami, (które doprowadza nawet do wojny), instynkt władzy zaś przez to, że wielopłaszczyznowa budowa narodu (polityczna, gospodarcza, społeczna, kulturalna), a przy tym budowa harmonijna — pozwala na „wyżycie się” instynktu władzy we wszelkich formach, zestrajając przytym wszystkich w wysiłku dla jednego ponadosobistego celu — dla dobra Narodu.

ZDZISŁAW WARDEJN

# REHABILITACJA ST. TREMBECKIEGO

(Dokończenie)

6.

TREMBECKI pozostaje w ustawicznych kłopotach pieniężnych. Kwestia pieniędzy ciąży na nim do końca życia i motywuje jego postawę mniej godną: przyjmuje niezaszczytne miejsce cenzora sztuk teatralnych i książek polskich sprowadzanych z zagranicy, a to wszak było zaprzeczeniem żałosnym tych wszystkich idei, których bronił. Zabiegi o to, by zostać księdzem lub rektorem uniwersytetu spełzły na niczym.

7.

Trembecki to poeta salonów i ogrodów. Jeśli chodzi o stylizację wieśniaków, poprzednikiem jest i Reymonta i Tetmajera. Krajobraz Trembeckiego jest zawsze stateczny i prawie martwy. Krajobraz to przede wszystkim fotograficzny, widoczny brak barw. W bajkach prawie zawsze dorównał La Fontainowi a często go przewyższał w sile wyrazu, w smaku doskonałym; do tych zalet trzeba dodać język żywy, barwny, pełen wyrazów ludowych i dawnych. Mickiewicz także je z entuzjazmem czytał.

Motyw zbliżenia się do natury znajduje w utworze „Pieśń dla wieśniaków krakowskich”.

Tymczasem Prusy wciąż dmuchają w ogień, podniecają opinię narodu przeciw Rosji i jej zwolennikom. To nie przeszkadzało szefom opozycji być w Kijowie (1787). Posłowie pruscy jak Buchholtz, Goltz a nadewszystko Lucchesini przedstawiali Fryderyka Wilhelma jako rycerskiego obrońcę wolności polskiej przeciw intrygom króla, hetmanów i Rosji. Ta polityka przyniosła owoce, Lucchesini stał się prawie arbitrem politycznego życia polskiego. Kilka słów o tej postaci. Kaunitz uważał go za szpiega, przybył z Włoch do Berlina jako mężczyyna 28-letni. Jako lektor Fryderyka II opłakiwał go po zgonie. Gorliwy uczeń Fryderyka II „Wielkiego”. Żaden środek nie wydał mu się dosyć skuteczny. Razem z Herzbergiem pracował nad poróżnieniem Polski i Rosji. W czasie swego pobytu w Warszawie pochlebiał tendencjom liberalnym i patriotycznym, a pana swego malował jako idealnego protektora Polaków. Przyjmowano go wszędzie, fetowauo na salonach, powierzano mu wszelkie tejemnice. Przyrzekał kontrkonfederację ze strony Prus. Armia Usedoma była gotowa i anektowała Toruń i Gdańsk. Wszyscy zwolennicy przymierza rosyjskiego stali się przedmiotem przekleństw z królem na czele. Partia królewska topniała z dnia na dzień. Większość Sejmu pod wpływem Lucchesiniego żądała

wycofania wojsk rosyjskich z Ukrainy, zamknęła granice przed armią Rumiancewa — to wszystko było niebezpieczne, gdyż mściwa i dumna caryca była zdecydowana mścić się. Partia królewska w tym niebezpiecznym momencie oświecała publiczność za pomocą pamfletów i traktatów, demaskowała interesowność Prusaków.

Trembecki brał udział również w tej wojnie na pióra. Pisze „List do rodaków” w stylu wzniosłym, pochwala męstwo dawnych Polaków, przypomina Sobieskiego, atakuje germanofilów, przypomina upadek Polski za Sasów, niewdzięczność Austrii, mówi o wysiłkach reformatorskich Poniatowskiego.

Traktat został podpisany w marcu 1790 r. Herzberg sekretnie proponował Rosji przystąpienie do aliansu pruskiego. Król zaczął tracić głowę — 23 lipca 1792 przystąpił do Konfederacji Targowickiej.

Moment najbardziej patetyczny na sejmie z r. 1793 to głosowanie za przymierzem z Prusami, które podwójną grę uprawiały: naprzód Polskę przeciw Katarzynie podburzyły, potem pierwsze korzystały z ofiary nieszczęsnej Polski. Sejm otoczony żołnierzami i armatami, generał Rautenfeld siada w sali posiedzeń przy królu, oficerowie drzwi pilnują. Niecna rola Ankwicza i Bielińskiego. Posłowie na tym Sejmie Grodzieńskim stali się przedmiotem obelg, chociaż cierpieli oni strasznie. Trembecki sprawiedliwość im oddaje w „Liście do posłów wracających z Grodna”. Trzeba pamiętać zawsze o podwójnej roli Prus, dalej i to, że niestety — dzięki Polsce potęga pruska wzrosła, a cała polityka pruska między 1788 a 1792 była tylko ponurą komedią.

Mimowoli Trembecki przyczynił się do ustalenia się opinii o Poniatowskim, jakoby naród poddać chciał w jarzmo Rosji. Tymczasem listy poufne do Sieversa jasno dowodzą, jak to w chwili kiedy Trembecki pisał swój pamflet, król był do Konstytucji 3 Maja przywiązany... W opinii publicznej „List do posłów“ uchodził za apoteozę zdrady. Niemcewicz odpowiedział nań przepowiednią, że Poniatowskiego spotka los Ludwika XVI. Role króla i Trembeckiego skończyły się. Wypadki z r. 1794 wydarzyły się w atmosferze zupełnie im obcej, była ta rewolucja prototypem rewolucyj romantycznych. Znaczenie jej niezwykłe polega na tym, że rolę w niej odgrywała ludność Warszawy i lud — odtąd już nie sama szlachta liczyła się w Polsce.

8.

Po ostatniej katastrofie król opuścił Warszawę. Wyjechał do Grodna, aby być świadkiem ostatniego aktu tragedii narodowej. Szlachta w przeważnej części panowanie obce prawie z entuzjazmem przyjmowała, bawiła się i tańczyła, cieszyła się, że znalazła obronę przeciwko nowościom francuskim. Trembecki z królem w Grodnie, pisze „Poemat do Repnina”. Wiersz to hołdowniczy, ale Karpiński podobny pisze. Zasadniczą ideą jest wiara w lepsze jutro Polski, które zależy od ustabilizowania się stosunków polsko-rosyjskich. Po śmierci króla w Petersburgu (12 lutego 1798) pozostaje poeta sam w tym obcym mieście. Przykra afera z ks. Józefem Poniatowskim o pieniądze zapisane przez króla. W 1801 wyjeżdża na Ukrainę, do Granowa Czartotyskich, aż ostateczny przytułek znajduje w Tulczynie u Szczęsnego Potockiego. Pisze „Zofiówkę“, w której naturę podziwia tylko przez — okulary jak Delille. Nie potrafi odmalować krajobrazu uczuciowego, jest jak gdyby strażnikiem muzeum. Uczucia przyjazne ku ku Rosji były odbiciem ówczesnego ogólnego nastroju. Teorie pitagorejskie oraz optymizm naturalny właściwy wiekowi 18. „Zofiówka“ to ostatni triumfujący przykład doskonałości technicznej Trembeckiego. Wiersz poematu zawsze dźwięczny i pełny, żadnego nie wyczuwa się wysiłku, język mocny i żywy. Jednak poeta nie obejmie całości, ani nie odda wrażenia, zupełnie nie jest czuły na barwy.

9.

Trembecki to umysł ciekawy i jasny, niezwysle pragmatyczny, zwrócony ku zagadnieniom historycznym i socjologicznym. Poglądy swe uzasadnia i filozoficznie i filologicznie. Doskonale umie oddać ruch, szkicuje formy, kształty zwłaszcza zwierząt, obojętny na barwy, nie potrafi oddać namiętności (z wyjątkiem politycznej), ani też wzruszeń melancholijnych. Postawa jego umysłu sarkatyczna, zmysł spostrzegawczy poddaje mu kontrasty albo szczegóły nieoczekiwane. Poematy jego to przedewszystkim odbicie nastrojów ogólnych, w najmniejszej mierze jego osobowości. Stąd pewna monotonia wewnętrzna jego dzieła. Sztuka Trembeckiego nie zna ewolucji—jakim był w pierwszych poematach, takim pozostanie z tym samym zasobem idei i środków artystycznych aż do końca. Okoliczności tylko będą jego formę zmieniały. Epikureizm, światowość i pragmatyzm Trembeckiego stały się istotnym powodem słabości jego produkcji artystycznej. „*Ce grand écivain cet homme inteligent et cultivé, ce penseur historique original aurait pu laisser dans sa poesie, dans la littérature politique et dans la spéculation historique des oeuvres définitives qui l'auratent consacré au premier rang des littérateurs polonais. Aujourd'hui l'étude de son oeuvre pose plûtot le problème assez décevant de savoir ce qu'il aurait pu être que de délimiter ce qu'il a été*“ (str. 279).

10.

Rehabilitacja Trembeckiego jako człowieka jest pośrednią także rehabilitacją króla poprzez zrozumienie i usprawiedliwienie tych prądów, które ówczesną Polskę nurtowały. Doskonale maluje uczony francuski walkę starej Polski z nową, tragedię słabości i lichoty St. Augusta i arystokracji polskiej. Nabieramy głębokiego współczucia dla króla, którego autor monografii stara się zrozumieć i usprawiedliwić. Stara się też zrozumieć i Trembeckiego jako poetę, człowieka i męża stanu. Wychodzi stąd wizerunek ludzki, arcyludzki. Zdumiewa i imponuje autor oczytaniem w rzeczach polskich i znajomością bogatej literatury i to nie tylko odnoszącej się do Trembeckiego, ale wogóle do literatury i historii polskiej w. XVIII. Szczególnie trzeba wysunąć na plan pierwszy pisma Wł. Konopczyńskiego czy to o Konfederacji Barskiej czy np. monografię o Konarskim. Na nich się wzoruje. Ten punkt wyjścia i taka właśnie obrana przez autora metoda pracy sprawiły, że nieraz postać Trembeckiego wprost ginie w powodzi ekskursów historycznych i obyczajowych, ale w gruncie rzeczy jesteśmy za to wdzięczni

autorowi. Z przyjemnością będzie monografię tę czytał nie tylko cudzoziemiec, ale z korzyścią i Polak, chociaż i Korzon i Dr. Antoni J. i tylu innych czasy te opisywało.

Do rzeczy i spraw polskich z ogromną życzliwością i sympatią się odnosi. Niejedno zjawisko polityczne dopiero w dzisiejszej Niepodległej Polsce znajduje pełne zrozumienie np. rusofilstwo Trembeckiego i gorące a ustawiczne ostrzeganie przed przymierzem z Prusami. Razi używanie przez autora takich form w r. ż. jak Komorowskówna, Koziebrodzkówna zamiast Komorowska i Koziebrodzka. Korekta też niezbyt staranna. Książka ta cenna bardzo zaszczyt przynosi paryskiemu ośrodkowi studiów polonistycznych — posuwa znakomicie naprzód naszą znajomość Trembeckiego zwłaszcza dzięki wnikliwemu związaniu jego twórczości poetyckiej z prądami epoki.

Oborniki. JAN ŚWIERZOWICZ

# DYKTATURA DOKTRYNY

## (DYSKUSJA WAKACYJNA)

IDEE, którymi mamy kierować się w wychowaniu, to są te same idee, które rządzą, albo powinny rządzić w całym życiu osobnika i społeczeństwa. Podstawy wychowania sięgają poza ścisłą dyscyplinę pedagogiki. Czerpano je zawsze dotąd, a i dziś innego źródła nie widać — z filozofii, wiedzy religijnej, etyki i polityki. Wychowanie jest narzędziem kształtowania ludzi według pewnego poglądu na świat. Chaos w pedagogice jest wynikiem chaosu w nauce. Polega on na ścieraniu się najrozmaitszych koncepcyj, bądź to pełnych i systematycznych, jakie tworzą wybitni myśliciele, bądź to ułamkowych i nieuzasadnionych, jakie sobie intuicyjnie przyswajają ludzie przeciętni. Będzie ten chaos nieszczęsny usunięty wtedy, gdy zapanuje w państwie jednolita koncepcja religijno-moralna i polityczna, oczywiście mająca uzasadnienie naukowe w najwyższej krytycznej postaci. Powiedziano o Kościele Katolickim, że panuje w nim „dyktatura doktryny". Trzeba by dodać, że nietylko doktryny — ale i łaski. Otóż tego rodzaju panowanie jest jedynym wyjściem z obecnego nieładu w umysłach i skłócenia w życiu społecznym. Rozumie się, że doktryna, rządząca całym życiem kulturalnym, musi być nie tylko ekskluzywnie panująca, ma mieć nietylko charakter „totalny" — ale musi być dobra, to zn. ma uaktywniać i rozwijać w duszy najcenniejsze jej siły twórcze, ma człowieka doskonalić, moralnie podnosić typ współżycia społecznego, zmierzając ku najwyższemu, jaki ludzkość wymyśliła, ideałowi szczęścia.

W podstawach „światopoglądowych" wychowania, czyli w pełnej koncepcji życia, jaką mamy wszczepiać w umysły i rozwijać w duszach — trzeba mieć wzgląd na skuteczność akcji wychowawczej, trzeba liczyć się z realizmem życia, z rzeczywistością społeczną, którą urobiła cała historia narodu.

Skojarzenie tych trzech cech jest sprawą trudną, nie tylko dla tego, że żyjemy w chaosie założeń światopoglądowych, ale także z powodu rozczłonkowania kultury humanistycznej na poszczególne liczne dyscypliny naukowe i gałęzie działalności. W każdej zaś takiej dyscyplinie i gałęzi panuje nieład, polegający na wolnej konkurencji różnotendencyjnych zapatrywań i teoryj.

Mamy koncepcję życia powszechną i panującą — w Rosji Sowieckiej. Ale brak tej koncepcji dwóch innych zasadniczych cech: nie jest ani dobra, ani realna. Mamy sporo książek katolickich na tematy pedagogiczne. Wysuwają one postulat wychowania katolickiego, budując jednak system wąski, oparty na samym jądrze religii, jakim są praktyki religijne w Kościele i wykład zasad wiary, bez usiłowań rozwinięcia tego jądra w całokształt życia osobniczego i narodowego. To też katolicka publicystyka pedagogiczna ogranicza się naogół do wołania o formalne i prawne warunki, mające zapewnić Kościołowi wyłączny i niczym nie zamącony wpływ na dzieci katolickie, uczące się w szkołach [1]). „Żądamy katolickiej publicznej szkoły wyznaniowej. Żądamy powiększenia liczby godzin nauki religii — z 2-ch na 4. Żądamy przestrzegania obowiązku praktyk religijnych dzieci i młodzieży szkolnej".

Nie można zaprzeczyć, że trudności „techniczne" i organizacyjne mogą wyrządzić wiele złego. Niemniej jednak główne zło jest gdzieindziej. Tkwi ono w duszach katolików, w ich małej aktywności kulturalnej. Dziś nie dość wołać o ustawy i rozporządzenia. Trzeba na nowo — każde pokolenie zresztą musi to robić — zaczynać od podstaw.

Jakie są podstawy systemu wychowawczego, któryby mógł w Polsce zapanować wyłącznie, jako „dyktatura doktryny?"

Główną zasadą będzie religia i moralność katolicka.

Nie zamierzam tutaj dowodzić istnienia Boga, ani prawdziwości innych naczelnych zasad wiary. To jest b. trudne zadanie wobec współczesnej filozofii krytycznej. W sprawach metafizyki siła przekonania nie może starczyć za dowód. Lichą wartość ma także naiwny pragmatyzm, stosowany nawet w poważnej publicystyce katolickiej przeciwko filozofii krytycznej, skrystalizowanej w „Elementach" prof. Tad. Kotarbińskiego. Wskazywanie na „rozkład moralny" na „pustkę", na „niepewność", jakie w konsekwencji mogą płynąć z krytycznej szkoły wiedeńskiej, czy pokrewnej jej, warszawskiej — to nie są poważne argumenty. Możemy zdobyć nie jedną, ale 10 katedr pedagogiki katolickiej, możemy mieć w państwie tylko katolickie uniwersytety, ale to niewiele pomoże, jeśli zlekceważymy najcenniejszy dar Ducha Sw. jakim jest rozum, który nie może się obejść bez ścisłości w sformułowaniach i bez uzasadnień w twierdzeniach. Tym, którzy lekceważą naukę i „naukowość", a czyni to olbrzymia większość katolickich myślicieli w Polsce, trzeba przypomnieć, że okresy największego wpływu Kościoła

[1]) Ks. dr. Walery Jasiński, O katolicką szkołę w Polsce, Poznań 1938, Naczelny Instytut Akcji Katolickiej, str. 160.

na życie były jednocześnie okresami, kiedy filozofia Ojców i Doktorów Kościoła, nawiązując do Platona a zwłaszcza Arystotelesa, wyprzedziła w swej bystrości krytycznej i systematycznej zasadności — wszystko, cokolwiek przedtym lub współcześnie powiedziano na temat wielkich zagadnień duszy i ludzkości. Dziś modne są płomienne manifesty przeciwko wykładom uniwersyteckim — i inwektywy przeciw tym, którzy szukają pewności. Dziś w życiu katolickim przeważa postawa aktywna — nad poznawczą. Ludzie boją się myśleć, wolą działać. Wyczyniają miny mistyczne, jak Hitler, a przecież mistyka może być tylko mgławicowym praźródłem, natchnieniem myśliciela, ale wiedza jego, ażeby się zbliżyć do Prawdy, musi być skrystalizowana w jego rozumie, musi przejść przez racjonalne oczyszczenie i utwierdzenie. Podobnie i wola ekstatyczna, współdziałająca z wiedzą mistyczną, musi się skojarzyć z rozumem i przekształcić w wolę kulturalną, jeżeli chcemy tworzyć dzieła trwałe. Bez tego na nic się nie zda metoda „faktów dokonanych", ani mobilizowanie świętego oburzenia tłumów.

Postawmy więc zasady, które muszą być przyjęte przez olbrzymią większość społeczeństwa t. j. przez wszystkich ludzi, z wyjątkiem głupców i łotrów.

1) Zasady moralności, określone w katechizmie rzymskim, są bezwzględnie dobre, wystarczające i niezastąpione. Nic wyższego moralnie i nic praktyczniejszego w życiu narodów dotąd w świecie nie wytworzono. Człowiek, wychowany w młodości po katolicku ma najlepszy start — do rozwinięcia swych najcenniejszych twórczych uzdolnień — i do współżycia z innymi ludźmi.

2) Katolicyzm, jako religia, pojęty w swej prawdziwej istocie i pełni — jest źródłem sił bezwzględnie dobrych, które w inny sposób rozwinięte być w duszach nie mogą. Praktykowany przez całe życie [2]) jest hamulcem dla akcji złej, a bodźcem dla dobrej; jest więc sposobem samodzielnego kształcenia charakteru aż do śmierci człowieka i w ten sposób najsilniejszym narzędziem postępu.

3) Dobro, zmieszane ze złem, rodzi w duszy niepokój, wahanie się, nieśmiałość, bojaźń. Żadne wypuczenia, żadne pozy nie zakryją tego smętnego widoku przed intuicyjnym, duchowym wzrokiem uczniów. Wszystko, co dobre, słuszne, sprawiedliwe, wzniosłe, rozsądne, rozumne — trzeba przyjąć i przeprowadzać w swym życiu z żelazną konsekwencją, choćby się paliło i waliło, czyli bez ulegania własnemu podskórnemu tchórzostwu i bez kompromisu z ogólnoludzką, a raczej wszechzwierzęcą skłonnością do wygody. Na tę modłę, jeżeli się jest dorosłym, wychowywać młodzież. Nie ideał „wyżycia się" i wygody „życiowej" ma rządzić nauczycielem, nie koncepcja amoralnego „swobodnego rozwoju" ma być duszą pedagogiki. Ideałem ma być dobro i związana z nim siła charakteru, pełnia rozwoju zdolności kulturalnych i najwyższy typ współżycia ludzi.

TADEUSZ DWORAK

[2]) Walenty Majdański, Giganci, Wyd. Księży Pallotynów, Warszawa 1938.

# FRYDERYK CHOPIN

## *QUASI UNA FANTASIA*

Panu Piotrowi Rytlowi, profesorowi Konserwatorjum Warszawskiego.

FRYDERYK CHOPIN jest to nazwa. Było coś, co wkroczyło na ziemię i otrzymało tę nazwę. Stało się to w Europie w dziewiętnastem stuleciu.

Można myśleć, że to coś zanim wkroczyło czatowało jakiś czas i przyglądało się i wybierało miejsce gdzie wkroczyć tak jak turysta, co stoi na dole przed turnią tatrzańską i zadarłszy głowę długo wpatruje się w dumne zbocze szukając kędy postąpić. Bo jeśliby to coś nie czatowało i nie przyglądało się, to jakżeż można byłoby wytłumaczyć, że ono utrafiło w miejsce tak doskonale właściwe? Owszem utrafiło ono nietylko doskonale, ale najlepiej jak można i nietylko najlepiej jak można, ale w jedyny możliwy sposób. Wobec tego trudno jest przypuścić, że to mogło stać się przypadkiem i że ono przed wkroczeniem nie czatowało i nie przyglądało się, taksamo jak trudno jest przypuścić, że można wejść na przepaścistą ścianę skalną, na którą wchodzić podobna jedną drogą tylko, jedną jedyną rysą, że można wejść oto na taką stromą pionową skałę, nie wpatrując się w nią przedtem pilnie, długo i badawczo.

Tak więc przed dziewiętnastem stuleciem było jeszcze osiemnaście stuleci (mówiąc tylko o Europie), ale w żadnem z nich to coś nie mogło wkroczyć. Bo nie było fortepjanu. A czyż może być Chopin bez fortepjanu? Mniej łatwo jest wytłumaczyć, dlaczego to coś nie mogło wkroczyć później niż wkroczyło, to znaczy, dlaczego to coś nie mogło wkroczyć w końcu dziewiętnastego stulecia, albo w naszym dwudziestym wieku. Bo jeśli chodzi o fortepjan, to fortepjan wyrabiany przez dzisiejszych fabrykantów jest lepszy niż ówczesny, który został jednakowoż przez to coś wybrany. Czyżby mogło to coś pomylić się przy wybieraniu sobie fortepianu, jak to bywa z niezbyt muzykalnym kupującym, który wprowadzony do wielkiej firmy, do wielkiej sali zastawionej licznemi fortepjanami przesiada się niezdecydowany po kolei od jednego do drugiego, aż wreszcie zmęczony i zdezorjentowany długotrwałem wsłuchiwaniem się decyduje się na kupno gorzej dźwięcznego instrumentu? Ale tłumaczenie tu jest inne, mianowicie: fortepjan dzisiejszy jako przedmiot materjalny, jako wytwór fabryki, czyli jako pudło rezonansowe, struny, młotki, klawisze i t. d., ten fortepjan jest lepszy, to prawda, od fortepjanu z przed stu laty, od archaicznego Pleyela, atoli fortepjan w rozumieniu nie jako rzecz materjalna, lecz jako kultura, kultura fortepjanu, ten fortepjan jest dzisiaj w upadku i jest daleko podlejszy od fortepjanu z przed wieku. Tak więc chociaż i trzeba przyznać, że to

coś i złożyło pewną ofiarę, rezygnując z doskonałych Steinwayów nowoczesnych, albo Bechsteinów, a poprzestało na dość mizernym instrumencie, to jednak ponieważ fortepian ówczesny, rozumiany jako kultura, w porównania do w tenże sam sposób rozumianego fortepianu dzisiejszego jest bez wątpienia daleko lepszy, więc można stanowczo powiedzieć, że to coś uczyniło bardzo dobrze, że wkroczyło wówczas, a nie dziś. Wszakże teraz może być taki zarzut: oto przecież dla tej przyczyny właśnie i niema dzisiaj kultury fortepjanowej, że niema Chopina i jeśliby był Chopin, toby była i kultura. Ale zarzut ten jest tylko połowicznie słuszny, — a więc zgoła nie prawdziwy, bo nie może być pół prawdy, bo połowa prawdy nie jest nawet połową prawdy, lecz jest niczem, jakoteż i człowiek rozrąbany na połowę nie jest połową człowieka, lecz jest niczem, — albowiem nietylko kultura nie może być bez Chopina, ale taksamo i Chopin nie może b y ć bez kultury, to znaczy nie może b y ć bez otoczenia, bez epoki, bez jej obyczaju artystycznego, bez całego jej zasobu wszelkich chwytów, reguł, sposobów i tradycji artystycznych, ani bez przyjaznych słuchaczy, to znaczy Chopin nie może b y ć bez środowiska, bez ramek, bez o k o l i c z n o ś c i.

Widać więc dobrze, że to coś, co wkroczyło na ziemię, a co z a t r z y m a ł o  s i ę pod nazwą: Fryderyk Chopin, to coś, to tajemnicze tchnienie podobne do wiatru, który wbiega nagle niewiadomo skąd, płoszy liście na drzewach drzemiące, podnosi tuman kurzu i matowi nienaganną polewę sadzawki, że to coś, to tajemnicze tchnienie, ten tajemniczy szmat energji, który wynurzył się oto na świat nagle niby skała po odpływie morskim, że to uczyniło dobrze, że nie wkroczyło ani wcześniej, bo nie było fortepianu, ani później, bo był zepsuty i że nie miałoby co dzisiaj robić, w świecie panującej dzisiaj atonalności i bolszewizmu i widać wyraźnie, że tchnienie to uczyniło dobrze, bardzo dobrze, że wkroczyło akurat wówczas gdy wkroczyło i że nawet nie mogłoby wkroczyć inaczej i że rzeczywiście, jak już było napisane, widać wyraźnie, że uczyniło ono tak jak turysta wytrawny, który stojąc na dole doskonale drogę sobie wypatrzył na zbocze strome, skaliste i nieprzystępne.

Tchnienie to tajemnicze taksamo i w o k o l i c z n o ś c i przestrzeni wsunęło się nie jakbądź, ale w sposób doskonały. I można myśleć, że palcem wodziło ono po powierzchni kuli ziemskiej, że palcem wodziło ono po południku i po równoleżniku aż znalazło lube dla siebie miejsce. Miejsce to, jak okazało się, jest to środkowa część terytorjum polskiego, czyli mniej więcej 52° północnej szerokości i 20° w s c h o d n i e j długości. I miejsce to jest dobre, bo łatwo zrozumieć, że tam gdzie zadużo słońca Chopin nie może b y ć. Wprawdzie Chopin dotarł do wszystkich południków i do wszystkich równoleżników, jednak Chopin jest to jakgdyby rzecz smutna i północna i nie może b y ć, nie może urodzić się, jak to się mówi, już chociażby poniżej Alp, pod lazurowem niebem bezmglistem, a może być i musi b y ć tylko na naszej szerokości geograficznej, czyli tam gdzie są właściwe naszemu klimatowi zimy i szarugi.

Jednak przecież taka sama ilość słońca jest we wszystkich punktach pięćdziesiątego drugiego równoleżnika, który przecina oprócz Polski Irlandję, Anglję, Holandję, Niemcy i Rosję, a wobec tego trzeba zapytać się: dlaczego tchnienie to nie wkroczyło nigdzie tam, lecz wkroczyło w Polsce? Odpowiedź jest taka: dlatego Chopin j e s t w Polsce, że Chopin jest to szczyt szczytów europejskiego romantyzmu, a przecież nigdzie nie było większej wygody, większego komfortu dla romantyków niż w Polsce, nigdzie nie można było lepiej zalewać się łzami i pogrążać się w rozpaczy, nigdzie nie było wygodniej załamywać dłonie i nigdzie nie była doskonalsza bezradność. Wszędzie noszono czarne stroje, ale nigdzie żałoba i romantyzm nie były tak szczere jak w Polsce. Ptakom wykłuwa się oczy, żeby śpiewały, a niebotyczny szczyt romantycznej Europy słusznie umieścił się w Polsce.

I była jeszcze inna przyczyna, że tchnienie to zapukało do dworka z ścianami białemi, do Żelazowej Woli, tak jak puka czekający u bramy z uśmiechem dawno niewidziany krewny z podróży dalekiej. Tchnienie to przyszło tutaj poprostu dlatego, że t u t a j ma jakgdyby pewien wdzięk i że nigdzie niema tego wdzięku, bo t u t a j jest tylko jedno i jest ono u nas. Nigdzie indziej niema Żelazowej Woli, ani tutejszej wierzby, ani tutejszej topoli, ani tutejszej mgły porannej, ani tutejszych księżyców, ani równie tutejszych tychże księżyców odbić na dole w stawie, lub błocie, tutejszych żab i ich równie tutejszych kumkań i zawodzeń. Ci co podróżują wiedzą, że jeśli i jest jakiś z tych przedmiotów gdzieś tam na świecie, jakaś wierzba naprzykład czy księżyc, czy jeszcze coś, to są one wcale nie tutejsze, lecz są tylko imitacją. Można objechać calutką ziemię, wszystkie jej krańce, a napewno nie będzie napotkana nigdzie ani tutejsza topola, ani mgła, ani żaby, ani cokolwiekbądź. Bo t u t a j jest jedno tylko. Jakoteż i Polska jest jedna tylko, jest p o j e d y ń c z a, a ta, która jest, jest właśnie tutaj. Polska to nadzwyczajne, niebywałe, nawskroś oryginalne, nigdzie niespotykane zjawisko, to punkcik jeden, jedyny, p o j e d y ń c z y w wszechświecie, nie powtórzony nigdzie, nigdzie, ani na ziemi, ani na niebie, ani w przepaściach międzygwiezdnych. Punkcik ten osobliwy, najosobliwszy, ten dziwny niezwykły element kosmiczny, ten dziwny pomysł Boski, to dziwne nasionko, to dziwne ziarenko jest właśnie tutaj, a wraz z niem i wszystkie jego topole, żaby, księżyce z odbiciami, szarugi, mgły, muchy i t. d. Nietrudno zrozumieć, że to wszystko ma pewien wdzięk i że dlatego tchnienie to tutaj przyszło i że dobrze zrobiło, bo Chopin bez tego wdzięku nie może b y ć.

I oto w r a m k ę przestrzeni, w o k o l i c z n o ś c i przestrzeni tchnienie to wsunęło się nie jakbądź, lecz doskonale i widać wyraźnie, że znalazło ono odrazu, za jednym zamachem wszystko co potrzeba, bo i odpowiednie nachylenie osi ziemskiej i należycie smutne okoliczności polityczne i lube i wdzieczne wierzby, księżyce i topole mazowieckie. Wszystko szczegółowo zrozumieć nie jest łatwo i nie jest łatwo zrozumieć, dlaczego s t a ł a  s i ę Żelazowa Wola, a nie jakaś inna osada w sąsiedztwie, albo i nawet oddalona nieco bardziej, bo i tak wszystkie te akcesorja, a więc i nachylenie osi i klęski polityczne i wdzięk mazowiecki — byłyby mniej więcej takie same. Ale chyba i przy wybieraniu tych szczegółów nie było ani przypadku, ani pomyłki. Zresztą kto ko-

cha, nie myli się. I może w Żelazowej Woli inaczej nieco, niż gdziekolwiek na świecie i inaczej, niż gdziekolwiek w Polsce pachnie rezeda wieczorem przed gankiem i może tam inaczej nieco, niż gdziekolwiek na świecie skrzypnie żóraw studzienny. I pewnie o to właśnie chodziło.

Krew człowieka jest to środowisko jego. Człowiek jest we krwi. Bo choć krew płynie wewnątrz w ciele, to jednak płynie nazewnątrz duszy. To znaczy, krew są to okoliczności, w których się żyje. Krew okala człowieka, jest to oprawa, ramki, gniazdo, muszla człowieka. Krew i ciało to nie jest sam człowiek, ani jego dusza, ale dość dobrze pokazują jaki jest sam człowiek i jego dusza, bo choć nie są one duszą, to jednak są jej umiłowaniem. A każdego poznaje się według tego, co on lubi. Biologja uczy, że krew i białko każdego człowieka jest odrębne i specyficzne, ale i twarz każdego człowieka jest inna, choć miljardy ludzi przebywa na ziemi. I biologja uczy prawdziwie, bo każda dusza jest inna, a wobec tego i umiłowania ich muszą być też coraz to inne. A tak każde ciało jest inne i każda twarz jest inna i we wszystkiem ciało każdego człowieka jest inne. Ciało jest to indywidualizm biochemiczny krwi i całego jej laboratorjum, zapach każdego ciała jest inny i zapach potu jego. Indywidualizm ciała i zapachu jego zachowany jest i wówczas, gdy ciało przesycone jest zzewnątrz jakimś silnym zapachem, naprzykład jakimś silnie pachnącym pokarmem, naprzykład alkoholem, czosnkiem, albo cebulą, bo i wówczas każde ciało pachnie inaczej. I pies, co, jak wiadomo, ma zmysł węchu doskonały, zapach człowieka indywidualny czuje i rozpoznaje nawet zdaleka i niezależnie od tego, czy człowiek przesycił się, czy nie przesycił się jakimś pachnącym pokarmem, czuje i rozpoznaje nawet ze strzępu odzieży i z każdego przedmiotu, do którego człowiek dotknął się i ze śladu odciśniętego na ziemi obutą stopą pobieżnie przy szybkiem chodzeniu. Nasze zmysły są tępe i nasze powonienie w porównaniu z węchem psa jest chyba takie jak zdolność widzenia ślepca, który zachował wrażliwość tylko na światło w porównaniu z widzeniem oka normalnego, rozróżniającego tysiące kolorów i akomodującego się do najrozmaitszych odległości i umiejącego patrzeć i przy pełnem świetle i o zmroku. Nasze zmysły są bardzo słabe, a nauka też nie umie wytłumaczyć na czem indywidualizm krwi polega, ale bezpośrednio czujemy, że cudza krew jest niemiła dla nas, bronimy się przed fizyczną bliskością z innym człowiekiem, brzydzimy się cudzej krwi, cudzej śliny, cudzego talerza. Niema tak wielkiej miłości pomiędzy ludźmi, żeby aż zupełnie nie brzydzili się oni sobą. Niema tak wielkiej miłości ani pomiedzy kochankami, ani pomiędzy najbliższymi krewnymi, ani pomiędzy matką i dzieckiem. Ale taksamo nie zdarza się taka wielka miłość, żeby aż nie mieli ludzie dla siebie tajemnic. Potrzeba być oddzielonym od innych ludzi duchowo jest bardzo ważna, jest to konieczność bezwzględna, bo człowiek jest to indywidualizm najprawdziwszy od początku świata, jest to osobnik i tak już jest stworzony, że jest osobno, a potrzeba być oddzielonym cieleśnie i brzydzenie się cudzej krwi i cudzej śliny jest to indywidualizm wtórny, pochodny i tłumaczy się tem, że krew i ciało jest to umiłowanie tamtego indywidualizmu najprawdziwszego, a do umiłowania swego nikt nikogo nie dopuszcza.

I oto tchnienie to, o którem mowa, taksamo i w ramki, w okoliczności krwi, w ten świat kilku litrów czerwonego płynu wsunęło się nie jakbądź, lecz doskonale. I można myśleć, że ono dobierało sobie krew, że zaglądało w krew rozmaitych rodów, że badało krew w rozmaitych gniazdach, zagrodach, że wietrzyło tę krew, że próbowało smaku rozmaitych piersi matek, że zakradłszy się do sieni i uchyliwszy drzwi stawało pod powiew dolatujący z mieszkań. Zmysły nasze są nadzwyczajnie grube i nie umiemy według zapachu poznawać ludzi, a poznajemy ich w sposób gruby i powierzchowny tylko według zewnętrznego wyglądu i kształtu ich ciała, tak też i gatunku tej krwi, która opływała to tchnienie nie można byłoby ocenić według zapachu ciała, czy koszuli Chopina, ale mimoto widzimy sądząc właśnie tak powierzchownie, że ciało to i krew ta były dobrane doskonale, bo ciało to wygięło się posłusznie i doskonale jak miękki wosk i kształt dokładnie przyjęło taki, jaki przylega do tego tchnienia doskonale i widzimy, że uroda tego ciała jest akurat taka, jaka powinna być, że jest akurat szopenowska, taksamo szopenowska i taksamo dobrze dobrana, jak i wszelkie inne okoliczności, to znaczy jak i akordy i fioritury ówczesnego fortepjanu, jak mazowiecki pejzaż, jak czarne stroje romantyzmu, jak poezja ówczesna i salony, jak bidermajerowskie fotele czy konsolki, jak odgłosy bitwy dolatujące z pod Olszynki i rozumiemy dobrze, że ciało to musiało być właśnie takie, właśnie szczupłe, asceniczne, z suchotami, z bladą pociągłą twarzą o charakterystycznym rysunku wydatnego nosa, o dłoniach niewieścich, wymodelowanych misternie jak w marmurze, z palcami nerwowemi pogrubionemi nieco w stawach. Wyjęty z wiersza Norwida fragment poniższy, może najpiękniejsze dzieło w całej poezji polskiej, dobrze rekonstruuje urodę tej dłoni:

Byłem u ciebie w te dni Fryderyku,
Którego ręka dla swojej białości
Alabastrowej i wzięcia i szyku
I chwiejnych dotknięć jak strusiowe pióro
Mieszała mi się w oczach z klawjaturą
Z słoniowej kości.

I tak oto wkroczyło tchnienie to tajemnicze na ziemię.

Wklęsłość jakgdyby była na ziemi i tchnienie to weszło w tę wklęsłość, w tę wnękę i przystanęło w niej. Wklęsłość ta są to wszystkie okoliczności, a więc i ta kropla krwi i potu, która nazywa się ciałem, i słońce i gwiazdy i fortepjan i gama muzyczna właściwa owej epoce i wogóle wiek dziewiętnasty i naród polski w żałobie. To wszystko jest to jakgdyby ciało Fryderyka Chopina, bo to nie jest: on sam, ale to wszystko pasuje do niego taksamo doskonale jak ciało, jak zapach jego potu, jak profil jego i ręka. Trzeba teraz napisać historję Europy i wyjaśnić jak powstał ten wiek dziewiętnasty, ten styl, ten specyfik, na który tchnienie to tajemnicze tak długo czekało i tak długo go wypatrywało, tchnienie to, o którem mowa, które weszło na ziemię i otrzymało nazwę: Fryderyk Chopin.

(C. d. n.) LEON MACIAŃSKI

# NA WIDOWNI

Z dziejów idei narodowej. — List Dmowskiego z Neapolu 1913. — Myśl przebudowy. — Jak na nią reagowali konserwatyści i socjaliści. — Wielki Budowniczy i Esperanto a „Wstęp do polityki polskiej".

W POPRZEDNIEJ „Widowni" pozwoliłem sobie zużytkować dwa listy Dmowskiego, aby zilustrować, jakie były wówczas w obliczu wojny nasze troski i usiłowania w sprawie obudzenia w społeczeństwie świadomości dziejowej. Czymże jest myśl polityczna, nadająca kierunek akcji, jeśli nie aktem uświadomienia momentu dziejowego?

Dla uzupełnienia obrazu cofnę się dzisiaj krok wstecz do r. 1913. Podstawą tych wspomnień będzie znowu list Dmowskiego, wiążący się wzmianką o jego pracy pisarskiej z listami poprzednio ogłoszonymi.

W roku 1913 bodaj mniej się pisało o wojnie niż w latach poprzednich, ale wojna ciągle była na myśli, nawet się jej pragnęło.

Dowodem tego myślenia była przyśpieszona w naszym obozie „wszechpolskim" praca umysłowa nad ustaleniem ideologii politycznej. Była to robota, prowadzona pod grozą tego widoku, jaki dawała światu ówczesna Galicja ze swoją orientacją, świadczącą o zupełnej degeneracji polskiej myśli politycznej. Zabory rosyjski i pruski postawą duchową przodujących ludzi odpowiadały mniej więcej historycznie wyrobionym instynktom mas i były zdrowsze; w Galicji panowało załganie, stąd rozchodziło się na całą Polskę „austriackie gadanie", mogące pociągnąć za sobą, gdy przyjdzie do realizowania sprawy polskiej, fatalne następstwa.

W całej pełni kwitła w naszym obozie publicystyka i praca naukowa, mająca na celu ustalenie metody myślenia politycznego po polsku. Nadchodzący moment rozgrywki wymagał jednolitej, nacjonalistycznej postawy całego społeczeństwa polskiego. Bogactwa polskiego patriotyzmu, żywiołu płynnego i biernego, trzeba było pośpiesznie przekuć na hartowną stal realnej myśli politycznej, opanować swój stan jasną świadomością tego, czym jesteśmy i pokazać światu, że jesteśmy narodem nowoczesnym, zdolnym do życia w najtrudniejszych warunkach.

Potrzebę tej reformy myślenia mogłem odczuć żywo, redagując we Lwowie dziennik polityczny („Słowo Polskie"). Największą troską przejmował mnie los młodzieży, karmionej w szkołach w sposób celowy romantyką literacką i hasłami, nie mającymi żadnego pokrycia w sensownym programie.

Do propagowania swej ideologii mieliśmy we Lwowie znakomicie funkcjonujący Związek Naukowo-Literacki i Tow. Wydawnicze, ściśle ze „Słowem Polskim" związane. W Związku, do którego kierownictwa należałem wespół z J. Gw. Pawlikowskim i Kasprowiczem, w latach 1911 — 1912 urządziłem szereg wykładów, wywołujących żywą dyskusję, właśnie w sprawie na temat metody myślenia o życiu i twórczości.

Szkice moje z tego zakresu wydałem pod koniec r. 1912 w książce pt. „Myśl przebudowy" [1]). Nabył ją za swej bytności we Lwowie śp. Józef Wolff, redaktor „Tygodnika Ilustr." i wydał w Warszawie, gdzie już panowała znaczna swoboda cenzury. Książka dedykowana była harcerstwu. Złożona z 20 rozdziałów, podzielona była na cztery części: 1) Na poziomie ogólnym, 2) Wśród młodzieży, 3) W stosunku do literatury, 4) Od podstaw do podstaw.

Działalność nasza wychowawcza we Lwowie odpowiadała tej, którą prowadził w Warszawie Zygmunt Balicki jako redaktor „Przeglądu Narodowego", uzupełniała też pracę Romana Dmowskiego, który tę samą myśl przebudowy metod wcielał w podstawy swego systemu ściśle politycznego. Moją rolą było zawsze rozszerzać tę myśl na dziedziny przyległe życia duchowego.

Nie wiedziałem wówczas, że Dmowski przygotowuje dzieło, które, jak przed 10 laty „Myśli Nowoczesnego Polaka", miało przygotować podstawę zarysowującego się przed nim coraz wyraźniej nowoczesnego systemu polityki polskiej. Dowiemy się o tym dziele poniżej z listu, któremu właściwie poświęcony jest szkic niniejszy.

Wszystko, co poza tym tutaj piszę, potrzebne jest dla wyjaśnienia niektórych punktów w tym dokumencie. Zamiast robienia odsyłaczy do listu z góry objaśnię, że dzieło, które Dmowski w liście nazywa „Wstępem do polityki polskiej", dotąd nie wyszło w druku. Wybuchła wojna, wziąć się więc musiał do robienia polityki bez żadnych „wstępów". Nie uważał nigdy tego dzieła za wykończone, nie ustalony był nawet tytuł. Jest ono jednak w tym stanie zupełnie do druku dojrzałe, a opublikowanie go stało się koniecznością. Jest to właściwie zarys nauki o narodzie, jako podmiocie twórczości politycznej, podstawowy podręcznik nacjonalizmu polskiego.

Co się tyczy owego Stabilisa, który w konserwatywnym organie „realistów" — w „Słowie" warszawskim podrwiwał z naszego realizmu, a zwłaszcza z naszego liczenia na lud polski, wydaje mi się, że Dmowski mylnie, przypisywał autorstwo Piltzowi[2]). Ten nie zajmował się zagadnieniami sociologicznymi i literackimi. Na mój węch autorem był Wincenty Kosiakiewicz, nowelista, współpracownik „Słowa" od spraw granicznych z literaturą, miarkujący, że najlepiej się przysłuży organowi ziemian i kapitalistów, gdy zaakcentuje lekceważenie roli ludu. Polemika moja z powodu tej recenzji przedrukowana była ze „Słowa polskiego" w warszawskim „Przeglądzie Narodowym" z czerwca 1913 r.

Rzecz charakterystyczna — moją „Myśl przebudowy" przyjęła nieżyczliwie prasa konserwatywna i socjalistyczno-żydowska. Z zachowanych recenzji widzę, że były pisma, które oceną tej książki zajęły się — rownież jak Stabilis w „Słowie" — w artykułach wstępnych, z tą jednak różnicą, że przyznawały jej wartość, widząc w niej próbę stworzenia syntezy dwóch prądów epokowych — romantycznego i pozytywistycznego. W tym duchu pisali Stanisław Kozicki w „Gazecie Warsz." (Nr 113 z 1913), Bolesław Koskowski w „Kur. Warszawskim" („Jak żyć"), M. Malinowski w „Wyzwoleniu" (Nr 4 i 5), Juliusz Kleiner w „Kronice Powszechnej" (Lwów, Nr 25) i in.

[1]) Zygmunt Wasilewski: „Myśl przebudowy. Rozmowy z młodym przyjacielem. Warszawa 1912. Gebethner i Wolff. Str. 167.

[2]) W słowniku pseudonimów Adama Bara brak pod tym względem wskazania.

Natomiast z zajadłością napadły na książkę organy żydowsko-socjalistyczne („Naprzód" w Krakowie, „Głos" we Lwowie), przeciwstawiające syntezie odrodzenia Polski — syntezę jej rozkładu. „Głos" lwowski, gdzie ster krytyki dzierżył Ostap Ortwin (Ketzenellenbogen), w artykule pt. „Zupełnie jak w wiekach średnich" nazywa moje wywody „stekiem bredni", najboleśniej zaś uczuł się dotknięty, że w polemice ze Stabilisem potrąciłem o ideał języka Esperanto i wypomniałem warszawskiemu „Słowu", że pisząc o katastrofie Titanica, przez roztargnienie zamiast imienia Pana Boga wezwał „Wielkiego Budowniczego".

Wspominam o tym dla tego, by nawiązać do wzmianki o masonerii w liście Dmowskiego. Właśnie o to pod spodem chodziło (wyraźnie trudno było o tym wtedy pisać), że walką z ideami nacjonalistycznymi kierowały loże i że one walnie się przyczyniły do upadku myśli konserwatywnej w Polsce. Aluzję do tej konspiracji znajdziemy w książce Dmowskiego o tym upadku myśli konserwatywnej (w 1913 roku napisanej), mianowicie w motto na okładce: „już nasze podejrzenia stwierdzone dowodem: człowiek, co się Konradem Walenrodem zowie, nie jest Walenrodem"...

Długo medytowałem teraz, czy podać list Dmowskiego w całości, czy też opuścić miejsca dla mnie pochlebne. Naturze mojej — zdaje się — właściwa jest skromność, ale w tym wypadku byłbym zbyt pokrzywdzony, bo nie potrzebuję mówić, jak drogą mi była każda pochwała Dmowskiego. Zwyciężyła więc dokładność archiwisty.

Oto list Dmowskiego:

Hotel Continental, via Partenope

Neapol, 4 czerwca 1913 r.

Aj, Zygmuncie drogi, niech Cię bogi polskie błogosławią. Jakeś ty ślicznie zerznął tego Piltza (Stabilisa), a z nim niby konserwatywnych masonów. Ten artykuł—to po prostu arcydzieło myśli i słowa. Nikt w Polsce nie umiałby z taką finezją napisać. Zająć to stanowisko umiałoby kilku ludzi—między innymi ja — ale tak je wyrazić tylko ty jeden. Bądź tedy jeszcze raz błogosławiony i niech bogi polskie nie mające nic wspólnego z wielkim Architektem, dadzą Ci długie życie, zdrowie i siły.

Musimy się prędko zobaczyć, choćby dlatego, żebym Cię mógł uściskać. Kozik[3]) to randez-vous planuje i mam nadzieję, że tym razem nie skrewisz.

Ja stanę w Warszawie 19 bm. i będę do rozporządzenia.

„Myśl przebudowy" — to mądra i piękna rzecz. Ogromnie mi się przy mojej robocie przydaje.

A robota ta strasznie urosła — będzie to sporego formatu tom, jakieś 600 stronic z górą.

Niestety, nie może być mowy o wydaniu jej w Tow. Wydawniczem, do którego jestem prawdziwie przywiązany — nie mówiąc o tem, że mam względem niego obowiązki — i dla którego wkrótce wygotuję rzecz inną, siedzącą mi w głowie. Teraz wolny od Dumy na dłuższy czas, a uporawszy się nieco z najtrudniejszą robotą praktyczną w kraju, chcę być przez jakiś czas więcej literatem.

Mój „Wstęp do polityki polskiej" dlatego nie może wyjść w Towarzystwie Wydawniczem, że jeżeli wyjdzie za kordonem — cenzura warszawska go nie puści. Chodzę w nim po samej krawędzi niecenzuralnego, ale tak, żeby się nie przewalić. Więc jedyny sposób wydać go w Warszawie. Skonfiskować trudniej—bo za tem idzie proces—niż zatrzymać zagraniczną książkę, co jest pozostawione samowoli. „L'ile de Pinguins" Anatola France'a wyszła cała w Petersburgu w rosyjskim przekładzie, a w oryginale francuskim cenzura petersburska wycina cały rozdział. Takie są kontradykcye absurdyalne (jakie piękne wyrażenie, co?) urządzeń moskiewskich. Dziękuję Ci za Myśl (przebudowy) i za Słowo (polskie) — które sobie tu czytam. Powiedz w Administracji, żeby przerwali wysyłanie od 11-go.

13-go wyjadę do Rzymu, gdzie zabawię dni 3—4, a potem jak siądę na „maszynę", tak wysiądę dopiero w Warszawie. Wiosłuję tu codzień i kąpię się w morzu, co dobrze robi przy robocie, i dlatego siedzę w Neapolu.

Ściskam Cię z całego serca

Twój ROMAN

Po powrocie z Włoch do Warszawy Dmowski, odkładając na bok dzieło, które go bardzo nęciło, zajął się bliżej w „Gazecie Warszawskiej" niepokojącą go robotą konserwatystów (galicyjskich i warszawskich) na polu propagandy haseł polityki austrofilskiej. Odpieranie tej akcji i prostowanie drogi dla publicysty pod cenzurą rosyjską, gdy jeszcze nie można było mówić o zjednoczeniu zaborów, było bardzo trudne. Przeniósł dyskusję w głąb, w dziedzinę sporu o metodę myślenia politycznego. A za granicą czytając „Słowo Polskie", wiele wiedział o tym, co robią konserwatyści z Bobrzyńskim na czele, organizując blok na poły lewicowy do walki z nacjonalizmem polskim.

Z artykułów, które wtedy pisał, powstała bardzo ważna dla historii naszych stosunków przedwojennych książka, wydana na początku r. 1914 pt. „Upadek myśli konserwatywnej wPolsce".

I to był właściwy „wstęp" do tej praktycznej już polityki na polu dyplomatycznym, której wkrótce poświęcić musiał wszystkie swoje siły. Nie wykończył systemu polityki polskiej jako pisarz, ale ten system wrysował w życie narodu wiekopomnym czynem swego życia.

ZYGMUNT WASILEWSKI

## NOWE KSIĄŻKI

Dygasiński Adolf. Pisma. Tom 5. Nowele IV.— Tom 28 Złamane życie. — Tom 30 W Kielcach. Warsz. Instytut Wyd. Bibl. Polska.

Cybichowski Zygmunt. Na szlakach nacjonalizmu. Rozważania prawno polityczne. Warsz. 1939. Gebethner i Wolff. Str. 233.

Minkiewicz Janusz. Nic świętego. Z 28 rys. J. Zaruby. Warsz. 1939. Gebethner i Wolff. Str. 200.

Przegląd Współczesny, lipiec.

Głos Sądowniczy, lipiec—sierpień.

Prąd. Lublin. Maj—czerwiec.

Mocarski Zygmunt. Z zagadnień piśmiennictwa polskiego na Mazurach Pruskich. Poznań 1939. Str. 31.

Nałęcz. Co powinniśmy wiedzieć o żydach. Wilno 1939. Str. 34.

Grabski Władysław Jan. W cieniu kolegiaty. Powieść. Poznań Księg. św. Wojciecha.

Fusek Witold. Biecz i dawna ziemia Biecka na tle swych legend, bajek, przesądów i zwyczajów. Biecz 1939. Nakładem autora. Str. 143.

*

Nakładem Wydawnictwa „Rój" — Warszawa 1939 wyszły następujące książki:

Połczyński Janta Aleks. Na kresach Azji. S. 315.

Malczewski Rafał. Od cepra do wariata. Str. 254.

Kurek Jalu. Młodości śpiewaj! (Powieść). Str. 405.

Sieroszewski Wacław. Droga do wolności. S. 233.

Helsztyński Stanisław. Od Szekspira do Joyce'a. Str. 335.

Duhamel Georges. Żywoty męczenników. Str. 213.

Waugh Evelyn. Czarna zaraza. Str. 265.

Somerset Maugham W. Teatr. Str. 289.

# GŁOSY

## GRUNWALD

TRUDNO bez głębokiego wzruszenia przyglądać się okolicznościowym — z powodu rocznicy Grunwaldzkiej — obrazkom w czasopismach, gdzie obok siebie widnieją portrety Jana Matejki, Henryka Sienkiewicza, Ignacego Paderewskiego, Antoniego Wiwulskiego...

Szereg artystów, a za nimi wzrok nasz widzi drugi szereg artystów — historyków polskich, którzy prawdę Grunwaldu potomnym przekazali, a za nimi — pisarzy politycznych, którzy tę prawdę życiu na przyszłość nakazali.

A wszystko to ponad łanem pokoleń, które prawdom, przeświadczeniom, nakazom, wizjom dały treść żywą jak krew, przedziwny, niezwykły wytwór instynktów.

Pięćset z górą lat przepracowywał w sobie duch Polski te instynkty i te tradycje, łącząc je z widokami na przyszłość, zanim doszło w wieku XIX — w czasach gdy się światu zdawało, że osobowość polityczna Polski już zamarła—do tak idealnego zjednoczenia ducha narodu w jednej myśli.

Widomy wyraz nadali tej myśli — artyści. Sztuki przeznaczeniem jest ratować życie od utraty świadomości — świadomości tego dramatu, który jest życia czarem, bo czarem porywającym w przyszłość, jest żądza przezwyciężenia dramatu.

Życie i sztuka — takie zespolenie widzimy w okazji Grunwaldzkiej. Temat nie zrobi artysty wielkim — to prawda, ale gdy wielki artysta usiłuje dopomóc wyobraźni dziejowej narodu do zrozumienia wielkiego tematu, to musimy widzieć w tym dowód żywotności sprawy. Kto myślał, kto miał wrażenie, że Matejko, Sienkiewicz, Paderewski, Wiwulski, stawiali nad sprawą grobowce, ten był w błędzie; wielcy artyści stawiają zawsze drogowskazy, nie są od klękania u grobowców, chcą iść naprzód z życiem, a dlatego są wielkimi artystami, że umieją wyczuć bieg życia. Nie byłoby pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie, gdyby nie wyczucie, że ten widomy znak wyzwoli tajone w piersiach głębokie uczucia patriotyczne.

Że był to nie sarkofag chwały, lecz drogowskaz, mamy dowód dzisiaj, gdy już nie na święto dusze się mobilizują, lecz na walkę. Nie zagasła prawda dziejowa w popiele. Dzisiaj głoszą ją „czajki nad łąką ubogą“, liść sypiący się z drzewa ją dzwoni:

Urzędnik z biura i ostatni ciura
i rybak z siecią u toni
słyszą głosy na ziemi i głosy w chmurach:
"Do broni... do broni... do broni..."
I hrabia w pałacu, i śmieciarz na placu,
i dziewczyna w cieniu jabłoni
słyszą — choć słyszeć nie mogą —
jak dzwon bije na trwogę:
„Do broni... do broni... do broni...“

Niewątpliwie sztuka uwrażliwia ten naturalny słuch człowieka i ogniskując oddźwięki dusz w swym rezonatorze, podnosi je do znaczenia zbiorowego zaklęcia, wszakże sztuka nie gdzieindziej czerpie swe natchnienie, jeno w tych samych głosach życia. Harfa byłaby niema, gdyby miała słuchaczy na te głosy głuchych.

## *VIVENT NOS ALLIES!*

W TYM roku właśnie upłynęło akurat dwadzieścia lat od pamiętnego obchodu francuskiego święta narodowego w dniu 14 lipca 1919-go roku, kiedy to pod Łukiem Zwycięstwa szły kolejno z rozwiniętymi sztandarami oddziały wojsk koalicyjnych, zwycięskich w Wielkiej Wojnie narodów.

Przez tłum radosny szedł wówczas jeden potężny okrzyk:

— *Vivent nos alliés!*

Po tej wielkiej defiladzie zamknięto Łuk żelaznym łańcuchem a pod sklepieniem złożono zwłoki Nieznanego Żołnierza, symbolu owych milionów bohaterskich „*poilus*", krwawiących przez cztery lata wojny w rowach strzeleckich.

Przyszedł dzień 14 lipca 1939-go roku. Ulicami Paryża idą oddziały wojsk francuskich w liczbie 30 tysięcy. Wraz z nimi, szereg za szeregiem idą oddziały armii angielskiej. I nagle zrywa się jeden, wielki okrzyk:

— *Vivent nos alliés!*

Czy od roku 1919-go nic się nie zmieniło?

Bardzo wiele i nic jednocześnie. Zwycięska koalicja rychło zdawała się zapomnieć o wielkim zwycięstwie, sławie wojny z lat 1914—18. Zmarł Foch, Poincare'e, zmarł tygrys Clemenceau, a symbolem „nowych czasów" stał się Briand. Anglia poczęła rychło zajmować się odbudowywaniem Niemioc w myśl koncepcji Lyold Georga, który począł raz wraz ciskać kłody pod nogi powstającej i naprzód idącej wciąż Polsce.

Potem przyszedł we Włoszech faszyzm a w Niemczech narodowy-socjalizm. W tym czasie Francją poczęły wstrząsać pierwsze paroksyzmy rewolucji. Żyd został premierem, inny żyd, nazywający sztandar francuski poprostu szmatą, ministrem oświaty, a pewien dezerter z czasów wojny objął inną tekę ministerialną.

Niemcy narodowo-socjalistyczne poszły, w gruz walić postanowienia Traktatu Wersalskiego.

I nagle pewnego dnia zbudziła się dawna koalicja: Wielka Brytania zdobyła się, jak czasu wojny, na ustawę o powszechnym poborze rekruta, Francja precz odrzuciła zawracanie sobie głowy czerwonym sztandarem. Tylko my, Polska byliśmy tacy, jak zwykle — zawsze gotowi do „nieszanowania się dla Ojczyzny" — jak mówił Żółkiewski.

Tak się stało, że dzień 14 lipca był w tym roku dniem 150-letniej rocznicy zdobycia Bastylii i socjaliści wraz z komunistami próbowali urządzać swoje manifestacje. Jakże blado wyglądały one wobec potężnej manifestacji wojskowej Francji! Jakże byłv niezestrojone z nastrojem Paryża! Zdobycie Bastylii? Wielka rewolucja? Przypomniały o niej dzienniki, przypomniało nawet orędzie prezydenta Lebruna, ale Paryż i Francja cała powracały wciąż do jednego wspomnienia — owego pamiętnego dnia 14 lipca 1919 roku i do tego jednego, potężnego okrzyku, który odżył, stał się na nowo czymś tak bardzo aktualnym i pełnym treści:

— *Vivent nos alliés!*

NAUKA I LITERATURA

## FELIETONY BAINVILLE'A

W POCZYTNYM tygodniku francuskim *„Candide"* w ciągu dwunastu lat zjawiały się krótkie felietoniki, poświęcone różnym sprawom dnia. Wtajemniczeni wiedzieli, że pisał je Jacques Bainville, historyk i publicysta, zajmujący się głównie zagadnieniami z dziedziny polityki zagranicznej. Obecnie wybór tych felietonów ukazał się w postaci książki p. t. *Doit-on le dire*? (A. Fayard. Paris).

We wszechstronnej działalności Bainville'a rodzaj to odrębny i — kto wie — czy nie najbardziej odpowiadający jego temperamentowi i składowi jego umysłu. Miał bowiem Bainville tę właściwość, że zmierzał zawsze do uchwycenia istoty każdego zagadnienia. Wiadomo zaś, że kto sprawę jakąś dobrze zna i dobrze rozumie, ten może ją wyłożyć w kilkunastu zdaniach. Czytelnicy dziennika "*L'Action Française*" pamiętają doskonale krótkie codzienne artykuły podpisywane całym nazwiskiem, lub też tylko literami J. B., z których dowiadywali się, co autor sądzi o najważniejszej sprawie dnia. Były one zawsze oparte na wszechstronnej znajomości historii Europy i obecnych stosunków politycznych. Zachowały całą swą wartość, ukazując się obecnie w pośmiertnym wydaniu pism Bainville'a i doprawdy, czytając je, trudno nie żałować, że w dzisiejszych tak bogatych w wydarzenia czasach nie ma już tego wielkiego umysłu. Rzucił by on wiele jasnego światła na zawiłe stosunki dzisiejsze...

Interesowały Bainville'a jednak nietylko sprawy polityczne, lecz także zagadnienia historyczno-gospodarcze, można powiedzieć — interesowało go życie, wszystkie jego przejawy, całe jego bogactwo. Tu właściwość umysłu Bainville'a ujawniła się znakomicie w omawianej tu książce.

Są w zebranych w niej felietonach uwagi o polityce zewnętrznej i wewnętrznej, lecz obok tego ileż tematów innych, nasuwanych nieraz przez wydarzenia — zdawałoby się bardzo błahe. Gdy jednak zajął się nimi Bainville — nabierały znaczenia i wyrazu, bo umiał on zawsze uchwycić ich związek z głębokim nurtem życia.

A ileż trafnych przewidywań, gdy chodziło o rzeczy ważne i poważne?

Ewakuacja Nadrenii, Locarno, cały system polityczny Brianda. Jak dokładnie, jak przerażająco dokładnie widział Bainville, co z tego wyniknie! „Opuścimy Nadrenię—pisał akurat dziesięć lat temu, w roku 1929 — następstwa tego odczujemy dopiero później. Później będziemy myśleli: Jakże byliśmy spokojni, i my i Europa, gdy byliśmy w Moguncji? Będziemy wspominali czasy minione z melancholią. Będzie to poezja przeszłości, połączona jak zwykle, z żalem". A w roku następnym (1930): „Wiecie czego się najbardziej obawiam, gdy się zakończy idylla lokarneńska? Zawodu. Nie będzie może potrzeba wielu takich wydarzeń, jak te, które były w Nadrenii (mowa tu o zachowaniu się Niemców po opuszczeniu Nadrenii przez wojska francuskie), byśmy zaczęli mówić o Niemcach jako o o Hunnach i gorylach".

A kryzys gospodarczy? Tłumaczy go Bainville, podobnie jak to robi Dmowski—przez uprzemysłowienie kontynentów pozaeuropejskich i dążenia powszechne do samowystarczalności gospodarczej. Wystarczy mu kilka zdań, by narysować przed wyobraźnią czytelnika obraz pozwalający zrozumieć całe zagadnienie. Jedzie — opowiada Bainville — poszukiwacz rynków zbytu z Francji w świat. „Wsiada na okręt idący do Yokohamy. Dobijając do portu widzi kłęby dymu, wydobywające się z olbrzymich kominów, a Japończycy powiadają mu: „Jeśli pan chce nam zaproponować kupno tkanin, perfum lub produktów chemicznych, to niech się pan nie fatyguje. Fabrykujemy to wszystko sami i mamy to sami na sprzedaż." Wsiada na okręt idący do Sydney. Z okrętu widzi olbrzymie fabryki. A Australijczycy powiadają mu: „Bardzo nam przykro, lecz mamy nadmiar produktów i nadmiar bezrobotnych, brak nam natomiast pieniędzy".

I tak dalej. Przykładów możnaby przytoczyć bez liku. Stoją przed nami wciąż te same zagadnienia, a oświetlenie ich przez Bainville'a w aktualnych, krótkich felietonikach jest wciąż pełne treści i interesujące.

S. K.

## RUCH WYDAWNICZY

Lloyd C. Douglas. „Zielony sygnał" 317 str. M. Arct. — Warszawa. Cena 6 zł 40 gr.

Kiedyś pisałem, że anglikanizm dopiero czeka na chrzest. Powieść Douglasa jeszcze utwierdziła mnie w tym przekonaniu. Nie jest, oczywiście, dla nikogo tajemnicą fakt, że dusza anglosasa kształtowała się w ciągu szeregu wieków pod przemożnym wpływem Starego Testamentu. Urobił on mentalność angielsko-amerykańską w sposób swoisty, nieskończenie bliższy mentalności żydowskiej, niż duchowi Nowego Testamentu. Dlatego też, mówiąc nawiasem, masoneria — ten produkt żydowskiego ducha — znalazła tu podatny grunt, ogarniając najszersze masy ludności (gdy np. we Francji objęła tylko t. zw. „elitę").

W powieści Douglasa anglikański dziekan Harcourt, dając wyznawcom chaotyczną namiastkę chrystianizmu, naszpikowaną darwinizmem i wiarą w nieograniczony postęp ludzkości, szuka jednocześnie takich form kontaktu z wiernymi, które byłyby odpowiednikiem katolickiej spowiedzi. Zaspakajanie głodu sakramentu — namiastką, a pragnienie dyscypliny życiowej — doraźnymi bajeczkami o postępie nie wyczerpują kwestii i potwierdzają raz jeszcze to, że ten głód i to pragnienie w społeczeństwie istnieją i ogarniają coraz większe rzesze. (b. g.)

Z TEATRU

## JUBILEUSZ TEATRU LETNIEGO

OTWARTO go w r. 1870, dnia 14 lipca. Przez kilka pierwszych lat nosił na afiszach nazwę: „Tymczasowy Teatr Letni". Miał bowiem stanowić scenę zastępczą dla artystów Teatru Wielkiego, który w tym czasie przebudowywano. Budynek się szybko, w ciągu kilku lat (był czynny tylko w lecie) — zamortyzował, a potem okazało się, że może pozostać na stałe, jako teatr przeważnie farsowy. Życie swoje rozpoczął od „Pięknej Heleny". Na jego deskach rozpoczynały swoje świetne kariery takie talenty, jak Modrzejewska, Żółkowski, Rapacki, Leszczyński... Później Ćwiklińska, Honorata Leszczyńska, Osterwa, Fertner, Morozowicz.

Zarys dziejów tego Teatru dał p. dyr. Trzciński — w przemówieniu radiowym, w felietonie „Milczący Jubilat" („Teatr", nr. 11—12) oraz w mowie jubileuszowej do publiczności dniu 13 b. m. Uroczystość rozpoczął Władysław Grabowski, deklamując okolicznościowy wiersz Swiatopełk-Karpińskiego. Zaczem dyrektor Trzciński w przemówieniu we-

sołym, dostosowanym do charakteru Teatru, potrącił o ważną i obszerną sprawę polskiego humoru. Stwierdził, że publiczność polska nie umie się śmiać — i że nasz klimat kulturalny jest sztywny i nie sprzyja twórczości humorystycznej. To też trzeba sprowadzać utwory wesołe z zagranicy. Śmiejemy się po francusku, po wiedeńsku, po włosku, po angielsku i t. d., a niewątpliwie brakiem naszej psychiki i kultury narodowej jest niedostatek rodzimego dowcipu i śmiechu. Refleksja słuszna — trzeba by tylko dodać — że bardzo często śmiejemy się po żydowsku.

„Letni" jest jedynym teatrem T. K. K. T., który, jeśli idzie o typ dramatyczny, nie sprzeniewierzył się swojemu zadaniu. Świadczy o tym historia jego repertuaru. Jeżeli zaś komedie i farsy sprowadzał w znacznej większości z zagranicy, to istotnie dlatego, że twórczość polska tego typu jest poza kilku wybitniejszymi pozycjami — skromna — tak w swej obfitości, jak i jakości. Czy tylko nie dało by się czasem importować bardziej krytycznie i z lepszym smakiem? Bo nie wszystko, co Francuz wymyśli, Polak musi polubić...

Na jubileusz dano „Zgorszenie publiczne", farsę w 3-ch aktach Franciszka Arnolda, w reżyserii Konstantego Tatarkiewicza. W Teatrze Letnim widzieliśmy lepsze rzeczy. Ale nie narzekajmy — były także o wiele gorsze, i to w pełni sezonu zimowego. Farsa została niewątpliwie b. dobrze wyreżyserowana i zagrana — i to uratowało spektakl. Bo farsidło samo w sobie jest dosyć podłe, o wyłącznie wulgarnym dowcipie. To też Vulgus się śmiał i klaskał — ale nierzadko czyniła to samo lepsza publiczność jubileuszowa i panowie z prasy, zadowoleni z artystów. Najwspanialej wypadł Józef Orwid, chociaż potraktował swą rolę zbyt powściągliwie i komediowo — a może właśnie dlatego?... Reszta artystów zaprezentowała iście farsowe karykatury, z których najkapitalniejszą był hr. di Castelli, zagrany przez zawodowego arystokratę Teatru Letniego Wł. Grabowskiego. Jadwiga Zaklicka zademonstrowała ucieszonej gawiedzi swoje wygimnastykowane członki, wymalowane, jak to powiada Żeromski w „Dziejach grzechu", „na gniado". Inne osoby, słabo wyposażone przez autora libretta, trudno było efektownie odtworzyć. Prof. von Dieringen był dostatecznie sztywny, niekonsekwentny i głupi (St. Kwaskowski). Baronowa Urszula wykazywała dosyć karykaturalnego damskiego tradycjonalizmu i arystarchii sześcio — lub siedmiopałkowej, (Zofia Dobrzańska).

Red. Zygmunt Wasilewski powiada: Nie lubię pisać o aktorach; wychodzę z założenia, że ja bym lepiej zagrać nie potrafił... Istotnie, warto tylko pisać o popisach tytanów sceny, jak np. — że wymienimy żyjących: Solski, Węgrzyn, Stępowski, Osterwa. Mierni i dobrzy artyści pnąc się coraz wyżej do pewnego momentu — w swej perfekcji i karierze zasługują raczej na nieustanną obserwację i syntetyczną opinię co jakiś czas o ich drodze rozwoju. Tak zresztą pojmuje nasza krytyka teatralna swoją rolę wobec różnego kalibru talentów. Ponieważ jednak czytelnicy chcą mieć możliwie pełną ocenę widowiska, przeto recenzent referuje zwykle pracę zespołu aktorskiego w ten sposób, że określa jednym zdaniem charakter postaci komediowej, a potem jednym słowem łączy to z aktorem, który odtworzył ową postać mniej lub więcej „zręcznie", „zgrabnie", „udatnie", był „dobrym" lub „doskonałym". Taki sposób załatwiania się z aktorami jest mocno niedokładny.

Niech nam ten wywód posłuży jako racja zaniedbania rzeczy o reszcie aktorów „Zgorszenia".

Szkoda, że z powodu jubileuszu nie ogłoszono repertuarów Teatru. Interesują nas zwłaszcza ostatnie lata. Mamy bowiem wrażenie, że Teatr Letni, mimo że służy swej własnej kasie komizmem, nierzadko porno-graficznym i dowcipem, czasem trywialnym, to jednak przeprowadza pewną linię ideową. Jest to linia demoliberalna i amoralna a czasem nawet pęcznieje do folksfrontowej gruboskórności.

Nasuwa mi się w tej chwili, jako przykład farsa „Nie trzeba było mnie przejeżdżać". Nie śmiejemy się po polsku, Panie Dyrektorze, bo ze sceny idzie humor żydowski i żydowsko-lewicowa satyra polityczno-społeczna, skierowana przeciwko tradycjonalizmowi rodowemu, rodzinie katolickiej, hierarchii społecznej i etyce chrześcijańskiej. Tego właśnie towaru Teatr Letni sprowadza z zagranicy najwięcej. Trudno uwierzyć, aby decydował tutaj jedynie wzgląd na opłacalność przedstawień. A zresztą nie każda tranzakcja, gdzie za udzielanie przyjemności dostaje się pieniądze — jest przyzwoita. To też na dalsze lata życzymy Jubilatowi z ogrodu Saskiego bardziej zdrowego śmiechu i większej staranności w doborze fars.

T. D.

WYCHOWANIE NARODOWE

## DZIAŁALNOŚĆ MACIERZY

Wspaniała, twórcza i pożyteczna działalność Polskiej Macierzy Szkolnej z każdym rokiem przybiera na sile, cementując społeczeństwo, wyręczając nierzadko państwowe władze oświatowe ofiarnym wysiłkiem, dziś na kresach wschodnich stwarzając skuteczną zaporę oświaty i uspołecznienia, ładu i organizacji przeciw naporowi obcych niszczących imperializmów. Praca Macierzy staje się w tym aspekcie niezbędną funkcją pomocniczą w naszym organizmie państwowym i zasługuje na najwyższe uznanie i poparcie z punktu widzenia polskiej racji stanu. Doczekała się też życzliwej i cennej współpracy ze strony wojska, nawiązującego w swej patriotycznej akcji oświatowej i społeczno-opiekuńczej do chlubnych tradycyj dawnej Rzeczypospolitej i jej kresowych stanic wojskowych promieniujących polskością i wysokim obyczajem.

Praca Macierzy odbywa się ściśle według recepty założyciela, Henryka Sienkiewicza, który wyraził jej istotę i charakter w genialnym skrócie: „Naród sobie". Bo też wszelkie poczynania macierzowe rodzą się z ofiary społeczeństwa, ofiary pieniądza, pracy i myśli, zdolności i talentów organizacyjnych. Ten nadmiar, udzielony przez jednostki hojniej uposażone, zwraca się później w stokrotnym dziele dobra społecznego i obdarowuje szerokie rzesze, łaknących chleba duchowego i materialnego.

Działanie Macierzy to nie filantropia, ale samopomoc społeczna, której skuteczność uzależnia się od wysokości wkładu, pracy i ofiary oraz od ilości ludzi dobrowolnie się opodatkowujących.

Z wydrukowanego sprawozdania z działalności Tow. PMS w 1938 r. czerpiemy garść pożytecznych i ciekawych informacyj.

Ogólna ilość Kół organizacji w dniu 31 grudnia 1938 roku wynosiła 298 (31. XII 1937 — 266). Liczba członków T-wa PMS według stanu w dn. 31. XII 1938 roku wynosiła 37.381 (31.XII 1937—26.743).

Szkoły powszechne PMS mają na celu obejmowanie swym zasięgiem w pierwszym rzędzie t. zw. „rejonów bezszkolnych", powstałych na skutek trudności budżetowych, jako luki w państwowo-samorządowej sieci szkolnej, — wzmacnianie żywiołu polskiego, powrót do polskości tych, którym, jak wynarodowionej polskiej szlachcie zagrodowej i różnym „tutejszym", obce wpływy odebrały język i wiarę przodków. Liczba szkół powszechnych Macierzy według stanu w dn. 31 grudnia 1938 r. wynosiła 300 (31.XII 1937 — 254), liczba uczących się dzieci 13.865, (31.XII 1937 — 11.716). Na szkoły powszechne PMS wydano w 1938 r. 642,934.50.

Szkoły kresowe Macierzy różnią się od szkół w centrum kraju. Powstają zbiorowym wysiłkiem miejscowego

[1]) Polska Macierz Szkolna. Organ PMS poświęcony sprawom Towarzystwa. Sprawozd. z działaln. Tow. PMS w 1938 r. R. XXIII. Maj 1939 r. Nr. 3. Str. 139.

społeczeństwa, pragnącego polskiej szkoły dla własnych dzieci, przez to już w samym zarodku spełniają olbrzymie dzieło wychowawcze. Ustawowo są to szkoły prywatne, uzależnione od kuratorów i nadzorowane przez państwowych inspektorów szkolnych — najczęściej w pierwszym stopniu o jednym nauczycielu. Cierpią, co dziwna wobec t. zw. klęski bezrobocia, na brak wykwalifikowanych sił nauczycielskich, nie zawsze skłonnych do misyjnego pionierstwa oświatowo-kulturalnego w błotach i puszczach poleskich.

Macierz tworzy t. zw. Koła opiekuńcze w centralnych województwach Polski, opiekujące się dziatwą szkolną, dostarczające jej pomocy szkolnej i obuwia, niezbędnego dla dalekich wędrówek do ośrodka szkolnego, oraz odzieży, — odwiedzające swoją szkołę, korespondujące z dziećmi, a przy okazji szkoły często sprawujące opiekę nad nieodzianą i głodną, nieoświeconą i żyjącą w antihigienicznych warunkach ludnością kresową.

A oto charakterystyczna „próbka" korespondencji:

Dzieci szkoły powszechnej Polskiej Macierzy Szkolnej w Pożogu piszą do swych Opiekunów, Dyonu Żandarmerii w Toruniu, dając w paru zdaniach obraz wszechstronnej opieki, z której od paru lat szkoła korzysta.

„— Lubimy czytać i dlatego dziękujemy za przysłane nam książki. Sami oprawialiśmy na lekcji zajęć praktycznych i wpisaliśmy do biblioteki szkolnej i ponumerowaliśmy. Również cieszymy się, że mieliśmy chorągiew państwową, którą wywiesiliśmy na 3-go Maja. Na ten dzień zrobiliśmy przedstawienie. Krzewy zaś sadziliśmy z naszą Panią, było to dla nas wielką uroczystością. Nauczyliśmy się jak sadzić drzewa. Z taką chęcią sadziliśmy przez całą godzinę. A jak nam smakowały pierniki toruńskie, zjedliśmy z wielkim apetytem.

Na pożyczkę lotniczą Pani wysłała 30 zł. Kochani Panowie nam przysłali 20 zł. a 10 zł. Pani mówiła, żebyśmy zebrali i my trochę zebraliśmy i cieszymy się, że i część naszego samolotu będzie, że i my dzieci z Polesia możemy się przyczynić do obrony kraju". —

Akcja oświatowa Macierzy i jej walka z bezrobociem wśród Polaków oraz dążność do oparcia polskiego stanu posiadania na wschodzie o drobne rzemiosło polskie nieraz napotykają na, szkodliwe państwowo, niezrozumienie racji państwowej i utrudnianie ze strony niższych kół administracji szkolnej. Oto, Kuratoria szkolne zabierają nauczycieli ze Szkół Macierzy w ciągu roku szkolnego, od czynnego warsztatu pracy wychowawczej i powołują ich do szkół publicznych. W dziesiątkach wypadków przez kilka tygodni nie było nauki w szkołach, z powodu zabrania nauczycieli.

Szkół zawodowych Macierzy, zarówno stopnia gimnazjalnego jak i niższych, działało w roku sprawozdawczym 36. Mają one na celu wzmożenie polskiej produkcyjności na ziemiach, gdzie żywioł polski jest nieproporcjonalnie do potencjału państwowego — słaby, i zatrudnianie swoich wychowanków.

Największe trudności napotykają na obszarach wschodnich absolwenci szkół rzemieślniczych, poszukujący praktyki czeladniczej. Mistrzowie, przeważnie żydzi, kategorycznie odmawiają przyjmowania ich do swoich zakładów. Izby rzemieślnicze i obowiązujące ustawodawstwo wyklucza możność założenia warsztatu bez odbycia takiej praktyki, wobec czego przejawiły się przed kilku laty w Macierzy tendencje do rozbudowywania przy szkołach rzemieślniczych warsztatów produkcyjnych, zatrudniających absolwentów i umożliwiających im w ten sposób odbycie potrzebnej praktyki czeladniczej. Dążenie to, dające już w szeregu wypadków zupełnie konkretne rezultaty, zostało zahamowane przez decydujące czynniki nadzoru nad szkołami zawodowymi P. M. S. t. j. przez kuratoryjne wydziały szkolnictwa zawodowego, uosabiane przez wizytatorów szkół zawodowych. Zasada: „szkoła ma uczyć — a nie produkować" stała się obowiązującą.

A tymczasem absolwenci tych szkół albo bezrobotni „doczekiwali wojska", albo też bez większej zwłoki wędrowali na zachód, rezygnując może w obu wypadkach, z ambicji założenia własnego warsztatu w rodzinnych stronach.

Po przekazaniu państwu i samorządom szeregu szkół średnich w latach 1918—21, Zarząd Główny PMS postawił sobie za cel współdziałanie ze szkolnictwem państwowo-samorządowem i dlatego hamował nawet rozbudowę stanu ilościowego szkół prowadzonych na własną odpowiedzialność.

Gimnazjów i liceów ogólnokształcących Macierz dziś prowadzi ogółem 10 (2465 uczniów), mając na widoku — po likwidacji w ramach „systemu" seminariów nauczycielskich i na skutek coraz bliższej groźby braku kandydatów na nauczycieli szkół powszechnych, zwłaszcza ze wsi, a więc wieś rozumiejących i w wiejskich szkołach ludowych niezbędnych — wyszukiwanie zdolnych kandydatów, ze zdrowych i przykładnych rodzin wiejskich, ułatwianie im dostępu do gimnazjów, wyjednywanie stypendiów, które obecnie w poważnej ilości, lecz nie zawsze szczęśliwie, są rozdzielane przez samorządy, — a przez to zapewnienie liceom pedagogicznym dopływu odpowiednio uzdolnionego elementu wiejskiego. Bowiem Macierz służy wsi polskiej w pierwszym rzędzie. A załamanie dzisiejszego systemu oświatowego w swych głęboko sięgających skutkach jest tragedią wsi — podstawy i przyszłości narodu.

St. J.

# HYMN DO WENERY

O Venus, Afrodyto, Astarte, Dziedzilio,
O różo nad różami, nad liliami lilio,
Jakimkolwiek, bogini, zwiemy cię imieniem,
Ty jesteś krwią serc naszych i dusz naszych tchnieniem!

Ty świat cały przenikasz od końca do końca,
W ruch wprawiając wieczysty i gwiazdy i słońca,
Ty krążysz w sokach roślin i tobą zaiste
Żyją potężne dęby i jodły strzeliste
I nawet zioła najlichsze!
Cererze napełniasz śpichrze,
A Bakchowi winne grona —
O Venus płodorodna, bądź błogosławiona!

Ty krzepisz lwy hirkańskie i indyjskie słonie
I blask tęczy zapalasz na pawim ogonie,
Twoim głosem się skarży boleść Filomeli,
Gdy w maju las drga nocą od słowiczych treli,
W gruchaniu białych gołębi
To twój uśmiech dziewosłębi,
Motyle łączysz w uścisku,
A jurny byk na pastwisku
Twoją mocą zapładnia krowy pięknorogie,
Ty miękczysz młodych dziewic serca nazbyt srogie
I nieznanym uczuciem wzdymasz pierś różową,
Aż wreszcie z ust wyleci pierwszych wyznań słowo!

Ty, co czynisz tkliwymi nawet zimne gady,
A łososiom i pstrągom grzmiące wodospady
Każesz przepływać w górę,
Ty, która całą naturę
W wir wprowadzasz rozkoszy jednym swym spojrzeniem,
Aż rozbrzmi tańcem, krzykiem, hukaniem i pieniem —
Bądź przychylna, Cyprydo, i mojej starości
I ogrzej swoim ciepłem sztywniejące kości,
A ja za to poświęcę, o bogini, tobie
Różany wieniec, którym łysą głowę zdobię.

ARTUR CHOJECKI

**PO ZNIŻONEJ CENIE**

dla czytelników „Myśli Narodowej"

nabywać można w Administracji lub w redakcji „Myśli Narodowej" następujące książki

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

1. Aspazja i Alcybiades . . . . . „ 2.50
2. Pieśń w górach . . . . . . „ 2.50
3. Wnukom o prapradziadku . . . . „ 1.50
4. O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej 2 —
5. Z życia poety romantycznego (S. Goszczyński) 1.50

(Na koszta przesyłki trzeba doliczać 10%)

NOWA KSIĄŻKA

prof. Romana Rybarskiego

**„Idee przewodnie Gospodarstwa Polski"**

ZAWIERA NASTĘPUJĄCE ROZDZIAŁY:

I. Polska na tle koniunktury światowej. II. Źródła nowych kapitałów. III. Finansowanie produkcji i robót publicznych w Polsce. IV. Nakręcanie koniunktury, inwestycje i zbrojenia. V. Produktywizacja gospodarstwa narodowego. VI. Wolność i przymus; planowanie w gospodarstwie. VII. Korporacjonizm i kapitalizm państwowy; następstwa etatyzmu. VIII. Polska psychika gospodarcza

**Do nabycia w Administracji „Myśli Narodowej" po niższej cenie dla jej prenumeratorów: dla miejscowych po 5 zł 50 gr. dla zamiejscowych, łącznie z kosztem przesyłki pocztowej po 6 zł.**

WACŁAW SOBIESKI

**DZIEJE POLSKI**

w 3 tomach

wydanie drugie znacznie powiększone.

Już wyszły z druku wszystkie 3 tomy i są do nabycia w księgarniach i u wydawcy.

Cena za 3 tomy — 18 zł. bez opr.

23 zł. w oprawie.

UWAGA: Przy zakupach bezpośrednich u nakładcy koszt przesyłki obciąża wydawnictwo. PP. Nauczyciele, młodzież szkolna, stowarzyszenia oświatowo-kulturalne i zrzeszenia pracownicze bezpośrednio u nakładcy płacą 16 zł. i 21 zł.

**Adres: Warszawa, Wydawnictwo „ZORZA"**

**Al. Jerozolimska 17. P.K.O. 501.**

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA

„MYŚL NARODOWĄ"

NA KWARTAŁ III — 1939 r.

PRENUMERATA WYNOSI:

Całoroczna zgóry 32 zł.
Półroczna „ „ 17 zł.
Kwartalna „ „ 9 zł.

Kwoty do 50 zł. przesyłać można bezpłatnie za pośrednictwem załączonych blankietów rozrachunkowych, które także można nabywać na poczcie w cenie 1 grosza.

Należy przypisać konto rozrachunku pocztowego Myśli Narodowej Nr. 98.

Konto czekowe P. K. O. 3105.



Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.